

Gazeta Sremska



1-2/2017
ISSN 1231-7478
dwumiesięcznik
styczeń/luty
rok XXVII
cena 5 zł

JERZY JURGA

WNIEBOWSTĄPIENIE
WDOWY (RADOSNE)



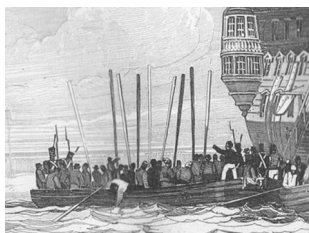
własność:
Muzeum
Śremskie



Bene Meritus. Doktor Barbara Siwińska – Honorowa Obywatelka Śremu

Nadanie tytułu Honorowego Obywatela Śremu wieńczy to wszystko, co zdarzyło się na drodze życiowej pani doktor odkąd w roku 1959 stanęła na śremskim rynku.

str. 06



Jędrzej Daleki – pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich. Cz. VI

Smutno mi opowiadać o mojej niewoli. Bo żołnierz, dopóki z bronią w ręku i dopóki się bić może, to minny i pan, choć jeść czasem nie ma co; ale odkąd dostanie się do niewoli, to mu życie niemiłe. Tak było zemną.

str. 09



Spotkanie pod Dziewicą

Wydaje się, że Rogalin jest powszechnie znany Wielkopolanom, ale jego długotrwała rewitalizacja, która zakończyła się w ubiegłym roku pozwoliła spojrzeć na tę perełkę baroku i klasycyzmu na nowo.

str. 48

Spis treści

str. 03 444 słowa redaktora naczelnego

str. 04 Poezja mnie zbawi

str. 06 Bene Meritus. Doktor Barbara Siwińska – Honorowa Obywatelka Śremu

str. 09 Jędrzej Daleki – pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich. Część VI

str. 14 Roxana Tutaj

str. 16 Gimnazjum

str. 20 Wieści z ratusza

str. 25 Wspomnień czar

str. 30 Wspomnienia z mojego fyrtla

str. 34 Dynamis

str. 38 Towarzystwo Miłośników Ziemi Śremskiej w Ruchu Stowarzyszeń RP

str. 40 Kwestionariusz kultury

str. 42 Oto Afryka, czyli inne przygody Mikołajka

str. 44 Nasz talent

str. 45 Dzika planeta

str. 48 Spotkanie pod Dziewicą

str. 50 Muzeum – wydarzenia

str. 53 ŚOK – wydarzenia

str. 56 Biblioteka – wydarzenia

styczeń ··· luty 2017

444 słowa redaktora naczelnego

Z życiem jest trochę jak z półlitrowką wódki, wszyscy wiemy, że musi się skończyć, ale kiedy przychodzi ten moment i tak jesteśmy zaskoczeni. Zwłaszcza, gdy należymy do grupy wiekowej 50 minus. To dziwaczne – śmierć zawsze nas zaskakuje, nagle śmierć zaskakuje nas nagle.

Jerzy Jurga nie żyje od piątku, 13 lutego 2009. Przyjmuję to do wiadomości dzięki upływowi czasu. Odszedł niespodziewanie. Nie przyjdzie do mnie bez powodu, „po drodze” – jak to się wielokrotnie zdarzało. Szkoda. Przecież w życiu wielu z nas był od dawna, prawie od zawsze, a to nie mogło przejść tak zupełnie bez echa. To było wielkie, magiczne oddziaływanie – przekonujemy się o tym często. Pamiętam, że w dniu pogrzebu było zimno, zimowo, niektóre zimowe miesiące w niektórych latach jeszcze tak mają. Pamiętam wiele sytuacji z udziałem MISTRZA, oficjalnych i tych, których nie rejestrowały zwielokrotnione oczy i uszy. Pamięć, takie staroświeckie słowo.

Zdecydowanie nowocześnie, żeby nie powiedzieć modnie, brzmi wyraz procedura. Dużo się dzieje na polskich drogach, to i o procedurach dużo się mówi. Nasłuchałem się, to myśl zaczęła myśl gonić. Od procedury do protezy, podobnym brzmieniem się rozpoczynającej, droga tylko pozornie daleka. Oba pojęcia są narzędziami, bez których co prawda możemy się obejść, ale z nimi jest zdecydowanie łatwiej coś zrobić. Chodzenie, na jednej nodze prawie niewykonalne, z protezą... zawodnicy biegają na igrzyskach olimpijskich. Jedzenie, bez zębów papki i przeciery, z protezą konsumujesz wołowe steki bez udręki i obawy, a niektórych znajomych chętnie byś paszczą rozszarpał. Widzenie, zdeformowana gałka oczna

funduje ci tylko rozmazany obraz nadjeżdżającego autobusu, okulary progresywne pozwalają nie tylko odczytać nominał na monecie z odległości pięciuset metrów, ale także skorzystać wreszcie z informacji niesionej przez tarczę naręcznego zegarka. Do tego wyglądasz jeszcze korzystniej. Pamięć, tu ilość dyskomfortu jest niemal nieograniczona, oczywiście nie pamiętasz żadnego numeru telefonu poza tym nieaktualnym z rodzinnego domu. Smartfon załatwia nie tylko ten jeden problem z niepamięcią. Jak umiesz, to wygrzebiez z niego więcej niż z rozumu.

Jest jeszcze pamięć zbiorowa, bardzo istotna w utrzymywaniu wspólnoty, pamięć o wspólnej historii i bohaterach. Ci bohaterowie to czasem nasi znajomi z podwórka albo z muzeum. Pamięć, takie staroświeckie słowo. Kiedy zaczyna brakować osobistych więzi, kiedy ów bohater postrzegany jest jako postać, a nie człowiek, potrzeba protezy pamięci. Ludzkość wynalazła co najmniej kilka protez tej skomplikowanej materii. Świat wypełniają pomniki, przedstawienia, festiwale, uroczystości i konkursy ku czci. Ulice, place i skwery zamiast numerów noszą imiona wybitnych obywateli. To bardzo dobrze, bo protezy jak powszechnie wiadomo, ułatwiają życie i poprawiają to, co niedomaga. Najlepiej te najwyższej jakości. Ale to nadal tylko protezy, najlepsze są własne zęby i własna pamięć. Pamięć, takie staroświeckie słowo.

Aha, zapomniałem wyjaśnić, procedura może być fantastyczną protezą braku odpowiedzialności.

Mariusz KONDIOLA

Poezja mnie zbawia

Warto przypomnieć

Mówią, że poezją zajmują się – inni twierdzą, że poezją nie można się zajmować, a tylko i wyłącznie tworzyć – wybitni, twórczy młodzi ludzie. Czasami jest to twórczość buntu, przekory, a czasami wypływająca z filozoficznych przemyśleń i obserwacji dobra literatura. Tomasz Pułka i jego twórczość to dobry przykład przekory, odmiennej poetyckiej refleksji czy literackiej zadumy. Kim był Tomasz Pułka, czym jest jego twórczość? Nakładem krakowskiej oficyny ukazały się dwie ostatnie książki młodego poety.

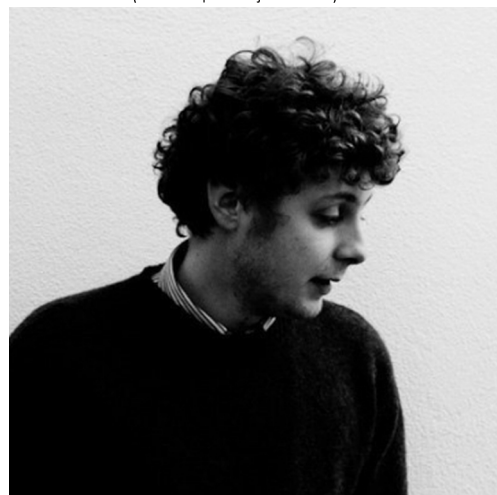
Urodzony w 1988 r. Pułka pochodził z Rudnika, mieszkał w Krakowie, gdzie studiował polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Debiutował bardzo wcześnie, w wieku 18 lat miał na koncie cztery tomy wierszy: *Rewers* (2006), *Paralaksa w weekend* (2007), *Mixtape* (2009) i *Zespół Szkół* (2010). Był laureatem cenionej w środowisku poetyckim Dżonki – Nagrody im. Stachy Zawiszanki (2007) i stypendystą miasta Krakowa.

Na stronie internetowej Korporacji Ha!art publikował felietony o wyraźnych wątkach autobiograficznych. Relacjonował w nich m.in. pobyt w szpitalu psychiatrycznym, gdzie trafił po nieudanej próbie samobójczej. *Nigdy nie zapomnimy o jego nietuzinkowej osobowości; był niezwykle błyskotliwym, elokwentnym i serdecznym człowiekiem. Nie możemy uwierzyć, że nie będzie nam dane współpracować i że już nigdy nie opublikujemy kolejnego odcinka „Impresji rudnickich”... Żegnaj, Tomku* – napisał zespół Korporacji Ha!art. Śmierć Pułki prawdopodobnie była wynikiem nieszczęśliwego wypadku. Zginął 9 lipca 2012 roku, mając zaledwie 24 lata. Młody poeta wpadł do Odry – leczył się z psychoz, uzależnień.

Swoimi wierszami w fascynujący sposób hipnotyzował i dezorientował czytelników. *Eksperymentował z różnymi formami, nieustannie modyfikował własną dykcję, by zaskakiwać nowymi conceptami, wobec których nie sposób było przejść obojętnie* – czytamy w komunikacie umieszczonym na stronach Korporacji Ha!art, która była wydawcą Tomasza Pułki. Wraz z Romanem Bromboszczem, Leszkiem Onakiem, Łukaszem Podgórnym i Piotrem Puldzianem Płucienniczakiem redagował artblog „Cichy Nabiau”. Był członkiem grupy Perfokarta, która zajmuje się poezją cybernetyczną – jej tworzeniem i promocją. Pogrzeb odbył się w Kościele Parafralnym w Rudniku (k. Myślenic).

Adam LEWANDOWSKI

Tomasz Pułka (Fot. Korporacja Ha!art)



Tomasz PUŁKA**Dlaczego klasycy**

Dlaczego klasycy muszą tak kłamać?
Jakby na wieki wieków w poprzecznej
wannie chowali brudne butle,
pełne swądu i maili?

Dlaczego klasycy kładą się
tak późno? Wtedy rozumiemy,
że nimi jesteśmy, chcąc
zaprzeczyć panowanie szabli:

30-074 jak wypadanie włosów;
jądra zniżające się wraz
z wiekiem – okaryna pełna
śliny; dzban pełen jadła.

Jeżycjada upływa

Jeżycjada upływa igłą włożoną do dzbanka
Śmiałość to koleina patrzenia
Chciałem napisać o wspomnieniu ale o nim
zapomniałem
W lutym zmarła Janina Zofia Kławe tłumaczka
Chciałem tłumaczyć zwoje znalezione w trakcie
W lutym znalazłem traktat pod wanną
Czytałem traktat klęcząc na posadzce
Śmiałość wykonywała podejrzane ruchy
W lutym spotkałem pod wanną wodę mineralną
Piłem łąpczywie tłumacząc „Agadir”
Chciałem wyleźć spod wanny ale o niej
zapomniałem
Teraz klęczę przed wanną jak ta igła w dzbanku

Miły kawałek

1.
Bez gry wstępnej: wyszedłem do kuchni,
by zjeść cztery kanapeczki, wypić kawę
i zapalić papierosa. Podczas „posiłku”
czytałem skandynawski kryminał o
szwedzkim policjancie. Jeślibym musiał
w tym momencie przyznać, co skłoniło
mnie do całej reszty – wskazałbym siebie.
2.
Jeślibym już chciał wskazać siebie,
musiałbym użyć fragmentu „siebie”.
Nie wiem, czy gramatyka to przewidziała.
3.
Hehe, pewnie tak.

Bene Meritus

Doktor Barbara Siwińska – Honorowa Obywatelka Śremu

Najwyższy honor zawodowy, Medal Gloria Medicinae otrzymała najpierw, bo w 2008 roku. A nadanie tytułu Honorowego Obywatela Śremu wieńczy to wszystko, co zdarzyło się na drodze życiowej pani doktor odkąd w roku 1959 stanęła na śremskim rynku. Właśnie mija 57 lat od tego momentu. Odtąd jej życie na zawsze związało się z losem szpitala.

To jest jak w kropelce cała historia jej życia – młodości, dojrzałości, jesieni. Ale to także szmat historii miasta. Kiedy pani doktor opowiada o szpitalu z tamtych pierwszych lat w zawodzie, to jakimś cudem wyłania się obraz całego tego 10-tysięcznego miasta, gdzie ludzie żyli tak blisko. Znali się wzajemnie, wiedzieli gdzie kto mieszka i znali swoich lekarzy. Tę legendarną już szesnastkę i szpital, gdzie nawet dziecko mogło pójść z rozbitym na ulicy kolanem, zostało tam zaopatrzone bez angażowania rodziców. Bo nawet dziecko wiedziało, że tam jest pomoc. Na coś takiego trzeba było zapracować.

A jak to się odbywało, w jakich warunkach? Pięć nie połączonych ze sobą budynków, sześć oddziałów i trzech ordynatorów. Doktor Antoni Paul to chirurgia i oddział ginekologiczno-położniczy, dr Halina Służewska – oddział dziecięcy i noworodkowy, dr Tadeusz Służewski – oddział wewnętrzny i zakaźny. Pani doktor Barbara Siwińska, która zdecydowała się na pracę na oddziale wewnętrznym, wspomina, że w całym powiecie nie było ginekologa, a dr Służewska była jedynym pediatrą. Lekarz dyżurny obsługiwał izbę przyjęć, obchodził cały szpital, wykonywał zabiegi. A lekarz pogotowia musiał być specjalistą od wszystkiego, bo zdarzały się niemal wszystkie przypadki jakie znała wówczas



Doktor Barbara Siwińska

historia medycyny. Tu musiała być rzetelna wiedza, a do pomocy były tylko niezbędne środki. Lekarz przyjmujący pacjenta w szpitalu, mógł przed postawieniem diagnozy wspomagać się podstawowymi badaniami laboratoryjnymi, prześwietlenia każdy wykonywał sam, nie było radiologa, zaś elektrokardiogram musiał być wywoływany jak film. Chciałoby się powiedzieć, że to wszystko. Ale tu dopiero następował sprawdzian wiedzy lekarskiej. Doktor Siwińska ujmując to tak – wywiad plus szczegółowe badanie równa się – rozpoznanie. Proste? A jakie trudne i odpowiedzialne. Na oddziale wewnętrznym dokumentację 30 chorych prowadził asystent. Ręcznie, bo nie było maszyn do pisania. No i jeszcze wykonywał transfuzje krwi i ważniejsze

iniekcje czekając na sterylizację igieł i zestawów do kroplówek.

W tych swoich wspomnieniach sporo miejsca poświęca pani doktor „personelowi pomocniczemu”, czy lepiej „średniemu personelowi medycznemu” jak powiedzielibyśmy dzisiaj. Dla Barbary Siwińskiej każdy ma konkretne imię. Siostra Dulcissima prowadziła laboratorium, Aleksja wywoływała zdjęcia rentgenowskie, Radosława była instrumentariuszką na bloku operacyjnym, a siostra Jeremia dawała narkozę. Jak wiadomo, siostry zakonne w pewnym momencie musiały odejść. Czystość, porządek, ład, dbałość o pacjenta, poświęcenie, umiejętności przegrały w starciu z obłąkaną ideologią i reżimem.

Wracając do wspomnień laureatki wzrusza dobra pamięć o siostrach oddziałowych na oddziale wewnętrznym, Danucie Koniecznej, nazywanej przez panią doktor Danusią, Beacie Przybyłek i Zbyszce Śniedziewskiej, figlarnej i sumiennej. Podobnie ciepłe wspomnienia poświęca laureatka ekipom wyjazdowym karetki pogotowia, w którym przepracowała aż 18 lat. Kierowcy to Józio Werwiński, Hipek Kaźmierczak, Zygmus Adamski, Stasio Ostrowski, Boleś Buchwald i St. Kardasz, sanitariusze – Ronke, Kwieciak, Maryś Mikołajewski. Cytuję te zdrobnienia imion, bo one przybliżają rodzinną atmosferę ówczesnego szpitala. Dla kompletu trzeba jeszcze dodać pralnię, szwalnię i tajemniczo dzisiaj brzmiącą „hodowlę nierogacizny”. Sprawa się wyjaśnia kiedy pani doktor wspomina o pysznych potrawach serwowanych w szpitalnej stołówce, „szczególnie po świniobiciu”. No tak, szpital musiał być samowystarczalny. Warunki były prymitywne, ale kucharki – panie Aniela Adamczyk i Marysia – wspaniałe. Choć kapalo z sufitu, mieszały się zapachy kuchenne ze stęchlizną, ale smakowało!

Kilka miesięcy przemieszkiwania na poddaszu pawilonu zakaźnego, na wspólnym z pielęgniarkami pokoju, z jedną wspólną łazienką na cały internat, sprawiły, że pani doktor Barbara Siwińska to pierwsze swoje M, 19,5 m kwadratowego, do dziś wspomina jak najczulej. To głądzenie ścian i pracę Walentego Nowaka, który potrafił wyposażać to maleńkie gniazdko tak, aby zmieściły się w nim wszystkie potrzebne mebelki.

I jeszcze długo potem lubiła przysiąść w stolarni mistrza, wypić kawę i powdychać zapach obrabianego drewna – swojską atmosferę.

I tu musi paść słowo „Dyżurka”, czyli pokój lekarza dyżurnego w śremskim szpitalu. Pomieszczenie największe, dogodne nie tylko na narady, spotkania, konferencje ale też miejsce ogniskujące szpitalne życie. Można było tam zajrzeć na codzienne „co słychać”, spotkać się w pełnym gronie przy imieninowym torcie, jak i na słynnym zebraniu założycielskim owej szesnastki w roku 1964. W powiecie działało bowiem już tylu lekarzy, aby możliwe było założenie Koła Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Dziś nawet trudno sobie wyobrazić jak wielkie znaczenie dla pogłębiania wiedzy ono wówczas miało. Przez 10 lat kierownictwa założyciela Koła, doktora Antoniego Paula i przez następne 11 przez doktora Tadeusza Służewskiego, a i potem, kiedy jego ster przejęła doktor Barbara Siwińska, wiedzę o schorzeniach, nowych terapiach przekazywali najlepsi specjaliści w województwie.

Ale Koło PTL zawsze miało też integrować środowisko. I ten nurt systematycznie zyskuje na znaczeniu. Obecna pani prezes, która kieruje nim już 32 lata, zawsze ten aspekt doceniała. Jednak potrafiła połączyć zarówno potrzebę wiedzy, integracji środowiskowej z wątkiem promocji miasta. I nie chodzi tu tylko o to, że wśród członków Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Lekarskiego nie ma nikogo kto nie wiedziałby co to Śrem, a jego długoletni prezes prof. Jerzy Woy-Wojciechowski czuje się adoptowanym śremianinem. Ale i o to, że to przecież ona przywróciła miastu jego wybitnego syna profesora Tadeusza Malińskiego. Z wykształcenia chemik, z zamiłowania koneser sztuki, znawca i badacz starych płócien, jest też dwukrotnym kandydatem do nagrody Nobla – zarówno w dziedzinie chemii jak i medycyny. Pionier nanomedycyny, profesor uniwersytetu Ohio w USA, został przyjęty przez świat całej polskiej nauki z entuzjazmem. Został też Honorowym Członkiem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego, doktorem Honoris Causa kilku polskich uczelni, a przecież i także Honorowym Obywatel Śremskim. Pierwszym, bo z inicjatywy Koła PTL w Śremskim wznowiono przyznawanie tego najwyższego miejskiego zaszczytu.

Po raz drugi tytuł ten miasto przyznało księdzu prałatowi Marianowi Bruckiemu, niestrudzone-
mu odnowicielowi Franciszkanów. A potrzebę
zatrzymania degradacji tego obiektu i przywró-
cenia go śremianom podniosła dr Barbara Siwiń-
ska i dr Ryszard Zawadzki. Ksiądz prałat podjął
to zadanie, zdawałoby się już nie wykonalne,
i przeprowadził renowację kościoła pofrancisz-
kańskiego w sposób, którego efekt przekroczył
nasze najśmielsze wyobrażenia. A po raz trzeci
tytuł Honorowego Obywatela Śremu nadano
profesorowi Zbigniewowi Kwiasowi, przedsta-
wicielowi zacnej śremskiej rodziny Kwiasów,
członkowi śremskiego koła PTL.

Doktor Barbara Siwińska zajmuje czwarte w ko-
lejności miejsce w tej honorowej łązy. Ale wia-
domo, że jest *spiritus movens* wielu poczyną
pokazujących, że „śremianie nie gęsi” i swych
wielkich mają. To się doskonale wie, jeśli śledzi
się pracę Koła Polskiego Towarzystwa Lekar-
skiego w Śremie na co dzień. Ale większość śre-
mian zna na pewno ten konkretny – założone w 1972
roku Medyczne Studium Zawodowe. Wykształ-
ciło ono 581 pielęgniarek i pielęgniarzy. Nowy
szpital miał kadry, a wielu młodych ludzi ze Śre-
mu, z bliższych i nawet dalszych okolic zyskało
nie tylko zawód, ale i miejsce pracy, założyło ro-
dziny, znalazło swoje miejsce na ziemi. To naj-
większy sukces tego okresu pracy pani doktor
Siwińskiej, lat 1967-1973, kiedy była kierowni-
kiem Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej
Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. Jak za-
znacza, nie traciła jednocześnie kontaktu ze szpi-
talem. A kiedy wróciła już w nowym szpitalu
otworzyła oddział Intensywnej Opieki Medycz-
nej, będąc 25 lat jego ordynatorem.

Na tym wszystkim minęło 45 lat. Liczba mieszk-
kańców miasta, gminy, powiatu potroiła się, a w
medycynie dokonał się niewyobrażalny postęp.
Tylko, tylko... wydaje się, że gdzieś w tym
wszystkim gubi się pacjent-człowiek. Nie chodzi
o powrót do czasów, kiedy tak niewiele robiło tak
wiele, ale tak podkreślany przez panią doktor
fakt, że nic nie zwalnia lekarza od pogłębiania
wiedzy, wysiłku i osobistej odpowiedzialności za
drugiego człowieka – chorego przychodzącego
z całym zaufaniem po pomoc.

A więc nauka i praca. To cechy, które doktor Bar-
bara Siwińska wyniosła z domu rodzinnego. I nie
trzeba było tu wielu pouczeń. Przykład dawali
rodzice, nauczyciele, tak bardzo oddani zawodo-
wi, czy raczej temu szczególnemu powołaniu
o jakim dzisiaj można tylko wspominać. To ono
w ciężkich czasach okupacyjnej nocy inspirowa-
ło ich do prowadzenia tajnego nauczania w miej-
scu wygnania, Żarnowie i okolicach. Dlatego tak
wzruszyło panią doktor, kiedy wraz z młodszą
siostrą Krysią odwiedziła tę miejscowość, że na
ścianie budynku szkolnego jest umieszczona gra-
nitowa tablica poświęcona pamięci nauczycieli
tajnego nauczania i znajdują się na niej nazwiska
rodziców. Ale przecież w kilku miejscowościach
Opoczyńskiego są ludzie, którzy zachowują ich
w żywej jeszcze pamięci i z którymi pani doktor
i jej siostra utrzymują, w miarę możliwości, kon-
takt. Dla pamięci tamtych lat doktor Siwińska
odszukała spadkobierców Tadeusza Kwiatkow-
skiego, autora wiersza *Pan Termometr zachoro-
wał*, aby wydać książeczkę z tym utworem
i świeżo wydrukowaną podarować tamtejszym
dzieciom. Ilustrował *Pana Termometra* doktor
Ryszard Zawadzki. Historyk hobbysta, z zachęty
pani doktor ilustrator i innych książeczek dla
dzieci, których śremskie Koło PTL wydało aż
siedem.

Pani prezes śremskiego koła PTL stale podkreśla,
że na każdym etapie życia zdarzało jej się spoty-
kać fantastycznych ludzi, dzięki którym udało
się to, co się udało. A teraz ma najbardziej fanta-
styczny zarząd w historii Koła – dr Ewę Kapale,
dr Annę Gendaszyk Tiszer, Hankę Kostrzewską.
Panie zaś odpowiadają, że robią swoje, i czekają
aż przyjdzie Basia z nowymi pomysłami i trzeba
będzie dać z siebie wszystko, bo tytuł najlepszego
koła w PTL zobowiązuje!

Po prostu: DOBRZE ZASŁUŻONY DOBRZE
ZASŁUŻONYM.

Barbara NOWICKA

Jędrzej Daleki –

– pradziadek mojej Babci Anieli, żołnierz wojen napoleońskich

cz. VI

O niewoli, w której po trzech latach okupacji Hiszpanii przez wojska napoleońskie, znalazły się też kompanie polskie, tak napisał historyk Marian Kukiel w *DZIEJACH ORĘŻA POLSKIEGO W EPOCE NAPOLEOŃSKIEJ*: [-] „niewola angielska, sroga i nieludzka, przymusiła do robót ciężkich na galerach. Znaleźli się wśród nich i tacy, których los zagnał na wyspę św. Heleny. Poprzedzili wielkiego cesarza biedni jego żołnierze polscy.” O szczegółach możemy się dowiedzieć z dalszych losów mojego przodka Jędrzeja Dalekiego, spisanych we *Wspomnieniach*...

Smutno mi opowiadać o mojej niewoli. Bo żołnierz, dopóki z bronią w rękę i dopóki się bić może, to minny i pan, choć jeść czasem nie ma co; ale odkąd dostanie się do niewoli, to mu życie niemile. Tak było zemną.

W Motrylu zamknięto nas wszystkich na jednym cmentarzu. Obdarto nas ze wszystkiego, nawet z rzeczy na sobie. Na niektórych ani koszuli ani spodni nie zostawiono. Ja, Kurczewski i niejaki Prożyński z Łowicza staliśmy pod murem zupełnie nadszyty, jak nas Bóg stworzył, bo nas tak obdarto. A tu upał nieznosny, a ludu wielka moc jakby na teatr zbiegała się, by nas wyśmiać i spowieć. Na domiar złego tak odartych przegnano nas w dzień biały przez całe miasto tam i napowrót na pośmiewisko większe ludu. Bogu tylko wiadomo, ilem wstydu wyżył. Spuściłem oczy ku ziemi i modliłem się cicho do Boga, aby mnie wybawił od tej hańby i sromoty, lub zabrał z tego świata. Gdybym był miał broń w rękę, byłbym uderzył na wszystek lud i całe wojsko, ażeby albo zginąć albo po trupach ratować się od tego wstydu. Ale darmo, nie szło.

Gdy tak stojimy pod murem, przybył nas też oglądając jakiś hiszpański jenerał w stósowanym kape-

luszku. Szedł przed naszym frontem. Gdy doszedł do mnie, ja wzniosłem ręce do góry wołając po hiszpańsku: „Panie jenerale, zlituj się! Wszak pies ma przynajmniej ogon, by nagość swą pokryć!” Jenerał słysząc hiszpańską mowę z ust moich, szturchnął mnie w piersi ręką tak mocno, że bylbym upadł na ziemię, gdyby nie mur cmentarza, i krzyknął ze złością: „Toś ty Hiszpan, a trzymasz z Francuzami?” „Nie, Panie jenerale, ja nie Hiszpan, ja Polak.” „Jakże więc umiesz tak dobrze po hiszpańsku?” „Przez lat kilka już bawiąc w tym kraju nauczyłem się tego języka.” „A z której ty prowincyi?” „Od Poznania, panie jenerale, jestem Polak, katolik.”

Widać, że go nasze nieszczęście nieco wzruszyło, bo zaraz kazał nam przynieść kurtki i krótkie spodnie na jeden guzik z boku zapinane, jak to dawni Polacy nosili. Mnie i kurtka i spodnie były za małe. Pozostał mi więc goły pas ciała w samym stanie jak dłoń szeroki, i tak chodziłem jak żebrak najgorszy przez dwadzieścia i jeden dni. – Jednakowoż takiej radości nie pamiętam w życiu jak wtedy, gdym trochę tej odzieży zarzucił na biedne ciało moje. Jużem śmielej patrzył na ludzi, na słońce i na ten świat Boży. Niedługo potem przyszedł rozkaz, żeby nas wsadzić na okręt i zawieść do Alikanty. (Alicante – miasto nad morzem Śródziemnem w prowincji Walencja). Wzięto nas tedy i zawieziono głodnych na łodziach do okrętu.

W tej samej chwili, gdyśmy odpływali, powieszono w mieście Wyszyńskiego z Mosiny i czterech innych naszych. Nadszedł też właśnie wtedy mocny oddział Francuzów od Almeryi, ten właśnie, na któryśmy czekali, a który się spóźnił, bo drodze był zatrzymany przez Hiszpanów. Z powieszonych Polaków Wyszyńskiego i jeszcze jednego zdołali uratować, a trzech innych już zastali udu-

szonych. Nam przybycie Francuzów już nic nie pomogło. Przyszli dwie godziny za późno. Płynęliśmy więc jako więźniowie na hiszpańskim okręcie. Okropnie się z nami obchodzono. Zamknęli nas w owym okręcie do ciasnej komórki jak śledzie w beczce. Upał był taki, że się zdawało, iż w tem ciężkiem i gorącym powietrzu człowiek albo się udusi albo spalić musi. A tu ani kropli wody pić, ani kawałka chleba, ani żadnego pożywienia najmniejszego nie dali. Niektórzy już tak byli zemdleni, iż ruszyć się nie mogli, jeno leżeli już na wpół prawie umarli. Dopiero trzeciego dnia pod wieczór, gdy widzieli, że już ledwo żyjemy, posłali po wodę na ląd. Między innymi kazano i mnie też jechać po tę wodę, bo miałem jeszcze dość sił. Byłem zaś mocniejszym od drugih moich kolegów dla tego: Drugiej nocy pobytu naszego na owym okręcie zaczęło mnie palić takie pragnienie, że na żaden sposób zasnąć nie mogłem. Szukałem więc chłodnego miejsca, żeby przynajmniej rękę ostudzić. Nie wiedząc sobie rady, wyszedłem po cichu na pokład z naszego ognistego pieca. Tu szczęśliwie namacałem beczkę z wodą, której pilnował żołnierz. Po cichu wyjąłem szpunt i przyłożyłem usta do picia. Ach piłem i piłem – a żaden miód na świecie nie mógł być słodszy i miłszy od tej wody! Mnie się zdało, że całą beczkę wypiję, i kto wie czybym nie był wypił. Ale na nieszczęście posłyszal mnie żołnierz na straży stojący, który mnie tak uderzył kolbą w grzbiet, że na złamanie karku do naszej komórki z pokładu na sam spód okrętu zleciałem. Bolały mnie kości, ale cóż to szkodziło, kiedy mi się tak uraczył jak nigdy w życiu! Wzmocniwszy się w ten sposób, byłem silniejszy na nogach od innych. Ale głód mi dokuczać zaczął straszny, bo przez całe trzy dni krzepiłem się tylko cebulką, którą znalazłem na okręcie, i tak z niej codzień potrosze ugryzałem. Szczęście chciało, że mnie posłano po ową wodę na ląd. Ucieszyłem się wysiadając na ląd, gdy mi ujrzał, że hiszpańska rybaczką miała chleb w ręku, i poczęła go krajać i dawać innym. Biegłem najpierw do niej co ducha i proszę też o kawałek chleba, bo, mówię do niej, już trzeci dzień jak nic nie jadłem. Ułitowała się nademną pocziwa kobiecina, i zaczęła płakać nad biedą naszą, mówiąc że i ona ma syna u wojska i nie wie, co się z nim stało. Ale gdy mi już ów chleb kraje, przypada Hiszpan i woła na nią: „Nie dawaj, bo księdza zabili w Motrylu!” Mnie wtenczas

w duszy aż pikać zaczęło, bo takem się cieszył na ów kawałek chleba, a nie dostałem nic.

Kto nie uczuł nigdy głodu wielkiego, ten nie pojmie nigdy co mi się wtenczas robiło, gdy mi zgłodniały widział chleb, miał z niego kawałek dostać, a nic nie dostałem. Rozpacz mnie prawie pobierała, i jakby szaleństwo jakie mnie opanowało. Ale przecie wody nam nie żałowali na lądzie. Napilem się przynajmniej tyle, ile chciałem.

Nabrawszy wody wróciliśmy na okręt. Sześć dni i sześć nocy płynęliśmy jeszcze do Alikanty. Za całą żywność dawano nam teraz dziennie półtora kwarty wody i chleba na dwa razy w usta.

Przybywszy do Alikanty, bawiliśmy tam dwanaście dni. Trzymano nas w jakimś magazynie. Dawano nam monetę realem zwaną – niby czwartą część franka i za taki pieniążek trzeba nam się było co dzień wyżywić. Szczęście, że tam śledzie tanie, bo tam śledzie solono i pakowano w beczki. Za pół grosza można było dostać trzy ogromne śledziska, ale takie, co to już były najgorsze. My prawie śledziami żyli. Bo i wyrzucali dość śledzi takich, co im się na nic nie zdały – my więc je zbierali i jedli. Później nam jednak zakazali ich zbierać, mówiąc żebyśmy się niemi mogli otruć, bo to złe śledzie wyrzucają. Pić się chciało bardzo po owych śledziskach, ale Bogu dzięki, żeśmy przynajmniej wody mieli pod dostatkiem. Wolno nam też było chodzić po mieście: widzieliśmy przeto dużo ciekawych rzeczy i wiele przeróżnego narodu, mianowicie Turków, aleśmy się z nimi na żaden sposób rozmówić nie mogli. Aleć też tam było rozmaitego wojska tak hiszpańskiego jak i angielskiego. W mieście była obfitość wszystkiego. Widzieliśmy masy sztokfisu i ryżu, które na placach stogami leżały. Kto miał pieniądze, mógł się najeść. Ale my tylko patrzeli na owe dostatki, ślinkę połykając.

W Alikancie był jakiś gubernator angielski i więcej jak sześćdziesiąt okrętów, co oni flotą nazywali. Temu Anglikowi nas oddano. On kazal nas w szeregu ustawić ażeby przegląd odbyć. Gdy nas ujrzał na wpół nagich, bez koszul, wynędzniałych, pytał się, cośmy za jedni. Gdyśmy mu powiedzieli, żeśmy Polacy, poczał okropnie pluć Hiszpanom w oczy powtarzając: „Wy nie wiecie co to za ludzie! – Oni nie mają swej Ojczyzny, swego króla – służą więc innym, a służą wiernie. Oni to głównie przyczynili się Francuzom, że tyle bitew wygrali! To naród szlachetny, bitny. To lud kato-

licki, a wy katolicy takeście ich obdarli? Godziź się z żołnierzem w niewoli tak postępować?”

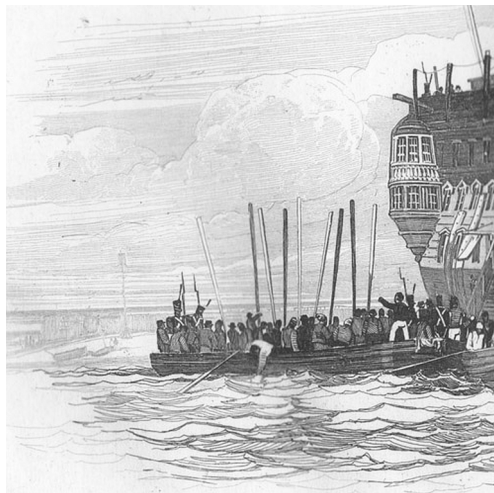
Okropnie im tam przy nas w uszy nakładł, i kazał nam natychmiast dać po koszuli i wyliczyć każdemu po talarze pięciofrankowym. Niech mu Bóg nagrodzi za to, boć pewnie już nie żyje!

Tego samego jeszcze dnia wsadzili nas na okręty i powieźli do Gibraltaru. (Gibraltar mocna twierdza w skale wykuta nad morzem, w Hiszpaniji ale należąca do Anglików). Przybywszy tu nie dali nam wysiąść na ląd, lecz przez dwa tygodnie trzymali nas na morzu dość daleko od brzegów. Z Gibraltaru płynęliśmy do Kadyksu (Kadix, miasto i twierdza w Hiszpaniji, nad morzem Atlantyckim), a z Kadyksu jednym ciągiem brzegiem Portugaliji i Francji aż do Portsmut (Portsmouth) w Angliji, gdzieśmy wylądowali. Tu nam dali Anglicy kurtki, spodnie i koszule płócienne, a gdy nas tak ubrali, dopierośmy wysiedli. Po dwu tygodniach pobytu w Angliji, zaprowadzono nas do Kumerland (Cumberland), jednej forteczki nad morzem. Tu nam dali mydła, każdy musiał się wygolić, wymyć i wykapać, poczem dopiero osadzono nas w koszarach. Dawali nam dziennie pół funta mięsa, funt chleba i dziewięć pensów, niby trojaków.

Wzięto nas potem do Lamenton (Limington), gdzie był główny skład angielski. Tu rewidowano nas wszystkich, mierzono i kompletowano nami pułki swoje w Indyjach i Bóg wie gdzie za morzami stojące. Z płaczem żegnaliśmy się na zawsze z towarzyszami, którzy szli daleko za morze w służbę angielską. Wielu zaś z nas wymawiało się od tej służby. Ja zwłaszcza byłem ranny pod Gdańskiem, powiadałem, więc, że jestem już słaby i inwalidą. Posłano nas do Arycza (Harwicz) nad morzem (Północnem), gdzieśmy także dwa tygodnie stali, trzymając warty i stawając rano i wieczór do apelu. Obchodzili się z nami grzecznie i po ludzku, a to wszystko w tym celu, aby nas zwerbować – chcieli nas nawet w Angliji pożenić, byleśmy tylko zostali.

Z Arycza wodzono nas po różnych miastach angielskich, aż nas wreszcie zawieźli do Londynu, gdzieśmy odbywali noclegi na przedmieściu.

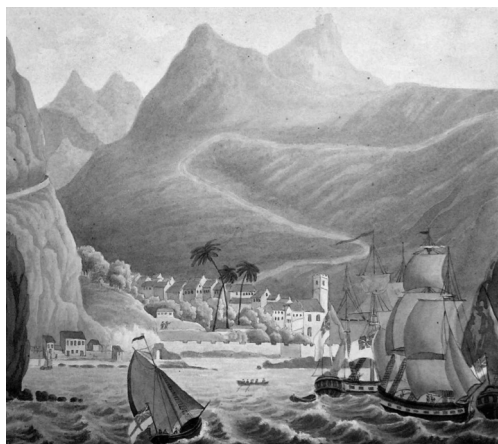
Dziwny zwyczaj w tej Angliji, bo codziennie przynosili nam na kwaterze na półmisku cynowym tytuniu, i każdemu dano codziennie nową długą fajkę gipsową. Dnia jednego było to w Niedzielę, kiedy tak sobie rano może około ósmej godziny palimy



Angielskie pontony uwożące jeńców z Hiszpanii

owe fajki gwarząc o naszej niewoli, przychodzi nagle dziewczyna, i nic nie mówiąc bierze nam owe fajki od gęby i postawia na bok. My mieliśmy nakaz, żeby wszędzie być jak najgrzeczniejszymi. Złękliśmy się więc nie wiedząc, co to znaczy. Myśleliśmy bowiem, że który z nas co na kwaterze przeskórzył i wszyscy za to będziemy karani. Idę więc zaraz ja i jeszcze z jednym kolegą meldować to sierżantowi angielskiemu, który nas miał pod mocą i zarazem uniewinnić się, gdyby nas o co gospodarz miał posądzić. Dopiero ów sierżant pocziwy, Polak rodem z Zamościa, który już kilkanaście lat pełnił służbę u Anglika, powiada nam, że tu w Angliji jest takie prawo, iż w Niedzielę podczas nabożeństwa niewolno ani fajki palić. Dopierośmy się uspokojili na tę nowinę, ale zarazem pomyśleliśmy sobie: Mój Boże, ten lud angielski nie katolicki, a jednak jak on to obserwuje święto, a u nas katolicy nie boją się Boga, jeno w Niedzielę lub święto nietylko że fajki palą, ale pracują!

Ledwieśmy w onej stolicy państwa angielskiego odpoczęli, powożono nas na okręt i wieziono do wyspy Świętej Heleny (wyspa na Oceanie Atlantyckim). W tej długiej i dalekiej podróży wieleśmy ucierpieli. Morze nieraz okropnie się burzyło. Morska choroba bardzo nas nękała. Niebo i wodę widzimy tylko co dzień. Tęskno i nudno – przepaści rozwarłe pod nami, trwogi i niebezpieczeństwa co chwila pełno. Zdawało



Julius Caesar Ibbetson Przybycie Napoleona na wyspę św. Heleny 1815

się, że nigdy nie zapłyniemy, tylko tak będziemy bujać po tych topielach do końca świata. Com się wtedy nazywał, toby nikt nie uwierzył; myślałem, że mi się gęba rozedrze. Na nogach ledwie się trzymałem, tak się okręciło chwiało jak pijane. Rozmąjite zwierzęta wodne wyskakiwały podczas ciszy morza nad wodę, aż strach było spojrzeć. Gdy człowiek wyszedł na pokład i patrzył na tę okiem niezmierną wodę, to aż się w głowie zawracało. O ziemi ani słycho – bałem się, czy nie zapomnę chodzić. Już to co ciepła, to aż nadto użyłem, bo w piecu od chleba nie może być gorzej. Przybyliśmy nareszcie.

Wyspa Świętej Heleny jest jakby z kamienia zrobiona, a kamień bielutki. Jest tam porządne miasteczko, piękne też kościoły, w których słyszałem śliczną muzykę i śpiew. Osadzono nas w koszarach i nie dano wychodzić. Używali nas potem do różnych robót. Fala była przypędziła dwa jakieś okręty, na których było pełno towarów. Musieliśmy je więc jak tylko morze opadło, co dwa razy na dzień bywało, odkopywać je i z piasku wyciągać. Wydobyliśmy je nareszcie na brzeg. Miewaliśmy też inną robotę. Rąbano i ciosano kamienie z góry; te potem musieliśmy znosić do komendanta. Ale za to dobrze nam płacili, bo po dwa szylingi, to jest po cztery złote polskie dziennie. Po kilku niedzielach kazał nas komendant zawołać i pytał, czy chcemy służyć w Indiach? My odpowiedzieliśmy otwarcie, że tego na żaden sposób nie chcemy, i że prosimy o litość nad naszym losem, że będąc Polakami chcielibyśmy umierać na

własnej ziemi. Komendant ujęty naszym dobrem zachowaniem się, a bardziej widząc naszą tęsknotę, wzruszył się litością. Wkrótce kazał przygotować okręt, zaopatrzyć we wszelką żywność i wyprawił nas z powrotem do Europy i to do Hanoweru. Szczęśliwie przebyliśmy morze. Każdy z nas miał pisane świadectwo i paszport do tego miejsca, skąd byłem rodem.

Wysiedliśmy blisko brzegów hanowerskich będąc, na morzu z okrętu na łódzie, i na nich zbliżyliśmy się bardziej do brzegu. Ale że i dla łodzi było już za mało, musieliśmy przeto brodzić po wodzie przeszło dwa staja. Zmoczeni i zziębli wyszliśmy na ląd we Frisland, gdzie już się znajdowali Francuzi. Ci odebrali nam paszporta, kazali sobie oddać wszystkie rzeczy, któreśmy mieli z Anglii, a złożony na kupę zapalili mówiąc, że oni nic z obcego kraju nie potrzebują. Co za racja, myśleliśmy sobie, jak gdyby nam nie było potrzebne, bez czego oni się obejść. Mnie spalili tak ładne lustro i dobrą brzytwę, którą sobie z oszczędzonego grosza byłem kupił w Anglii. Potem zagnali nas na nocleg do pustej stodoły. Już to nastawał czas zimy: śnieg leżał na ziemi po kostki, wiatr wiał zimny – my byliśmy przemoczeni ową przeprawą na ląd, byliśmy zresztą przyzwyczajeni do ciepła: tak więc nam w owej stodole było zimno, żem nigdy jeszcze nie słyszał takich jęków, jak my wtenczas z zimna jęczeli. Jużśmy myśleli, że nie doczekamy rana, jeno w tej stodole zmarzniemy, zwłaszcza żeśmy nic ciepłego w ustach nie mieli. Ale szczęśliwie przeżyliśmy tę noc. Stąd pędzono nas do Amsterdamu. Tu nie chcieli Francuzi wierzyć, że wracamy z niewoli Angielskiej. Owszem posadzili nas, żeśmy w Hiszpanii do Anglików uciekli. Trapili więc nas bardzo swojemi wypytaniami. Siedzieliśmy w Amsterdamie zamknięci dwa tygodnie. Nie dosyć było biedy od cudzych, trzeba nam było jeszcze cierpieć od swoich – aleć to tak często bywa na świecie! W końcu zawołano nas przed jakiegoś generała francuzkiego. Ten nas znowu badał o wszystkim. Napisał wreszcie do pułków naszych i dopiero przekonał się, żeśmy nie dezertowali od wojska, tylko dostali się do niewoli. Wypisał więc nam marszrutę do naszego składu do Bordo, gdzie już raz byłem maszerując do Hiszpanii.

Z Amsterdamu szliśmy na Luksemburg. Tu nie w mieście, tylko w jednej wsi za miastem dostali-

śmy nocleg u jakiegoś bogatego Niemca. Braliśmy po trzy su, to jest po siedem i pół groszy polskich na milę, oprócz tego każdy gospodarz na kwaterze musiał nam dać bezpłatnie soli, wody i ognia. W owej wiosce kupiliśmy sobie mięsa i każemy gotować. Ugotowano nam, ale bez soli dano na stół, i na żaden sposób soli dać nie chcą. Umawiamy się więc z Niemcem, żeby dał soli. On nie chce. Gdy się tak wadzimy o ową sól, przybiegł nagle kot, wpadł na stół i porwał nam kawałek mięsa. Może to niejednemu dziś śmiesznem, ale nam się wtenczas z tego przypadku śmiać nie chciało, bośmy byli głodni, żebyśmy kamienie byli jedli. Biorę więc rozgniewany gospodarza za kark, przekładam na stół i pięstkuję co nie miara. Po tej łaźni dobrej wsiada on czempredziej na konia i jedzie na skargę na nas do Luksemburga. Koledzy moi zaczynają na mnie gadać, że dla mnie będą może nieszczęśliwi. Ale ja ich uspokaję mówiąc: „Za to, com ja zrobił, ja odpowiem.” Wrócił ów Niemiec. Ja nie tracąc miny, idę zaraz do niego i pytam, co wskórał. On mi na to nic nie odpowiada, tylko prosi z soba do sklepu. Wchodzę z dobrym kijem, bom mu nie wierzył, czy mnie tam nie zacznie dusić.

A on tymczasem toczy w dzban wino i podając mi mówi: „Nie wiedziałem, coście za ludzie, widząc tak was nędznie ubranych; ale dowiedziałem się; teraz w domu moim odtąd niczego wam brakować nie będzie.”

Ja go też przeprosiłem, że się z nim tak źle obszedł dodając, że mnie bieda i niecierpliwosć do tego zmusiła. I prawdziwie dał nam odtąd pod dostatkiem do picia i jedzenia. Obiecał mi jeszcze na piwo dać nazajutrz, ale żeśmy rychło wychodzili, a on spał jeszcze, więc nic nie dostałem. Z Luksemburga szliśmy do Paryża, gdzie nam dano po ośmnaście franków nagrody, a po drugie ośmnaście franków mieliśmy dostać w Bordo. Z Paryża przechodziliśmy przez całą prawie Francję, aż nas wreszcie zatrzymano w Bordo, gdzieśmy po tylu miesiącach niewoli po raz pierwszy śliczną, czystą dostali bieliznę i pięknie nas umundurowano, tak że człowiek znowu dostał chętki być żołnierzem, bo w niewoli prawdziwie się tego odechciało.

Sześć tygodni wypoczęliśmy w Bordo. Mnie dano tresy i galonki kaprałskie, bo lubo w Hiszpaniji ciągle pełniłem służbę kaprałską, tu jednak dopiero prawdziwie na ten stopień mnie posuneli.

Jakże nam miło było spocząć wśród swoich po tylu trudach niewoli! Śmialiśmy się z niejednej biedy naszej, która nas dawniej do płaczu prawie pobudzała.

Mając wolny czas dziękowaliśmy też Bogu za nasze wybawienie.

Po sześciotygodniowym pobycie naszym w Bordo wracały pułki nasze z Hiszpaniji i wszystko miało hurmem ruszyć do Rossyji. Wcielono i nas do dawnych naszych kompaniji.

Był to kwiecień 1812 roku – w tym właśnie roku Napoleon Bonaparte rozpoczął wojnę z Rosją, jedynym jeszcze nie pokonanym przeciwnikiem na kontynencie. Miał do dyspozycji prawie pół milionową armię, a w niej także oddziały Księstwa Warszawskiego. Aby zachęcić Polaków do wsparcia w tej wojnie, Napoleon nazwał ją „drugą wojną polską”, sugerując, że po pokonaniu cara odbudowana zostanie Polska w przedrozbiorowych granicach.

Maria KONIECZNA

Roxana Tutaj

Ludzie, których spotkałem



Roxana Tutaj

Jaka jest Roxana? *Trudno człowieka określić jednym, dwoma słowami. Różnie się zachowujemy będąc w różnych sytuacjach. Nie każdemu pokazuję siebie. Wiem przed kim mogę się otworzyć, kto może ujrzeć mnie taką jaką jestem. Są ludzie, którzy lubią słuchać tego, co śpiewam, to może ich nakierować.** Cóż mogę dodać? Są ludzie, którzy widzą i słyszą Ją też w pozascenicznym otoczeniu, którzy z nią współpracują.

W czerwcu 2009 r. wręczyłem Roxanie świadectwo ukończenia Gimnazjum nr 2 w Śremie. Uśmiechy, uścisk dłoni i – minęły trzy lata. Gdy ja „ukończyłem szkołę” i szukałem pomysłu na siebie, doszło do przypadkowej (?) rozmowy... Potem spotkanie z Roxaną, już słuchaczką studium piosenkarского. Pierwsze plany, by coś razem zrobić. No i zaczęło się! – dość skromnie, w lutym 2013, od zaśpiewania przez Roxi kilku piosenek podczas I konkursu „Król Czynu” poświęconego ks. P. Wawrzyniakowi. Już po miesiącu było prawdziwe „wejście smoka” – pierwszy półtoragodzinny recital 19-letniej wokalistki. „Piosenki z tamtych lat” ukazały nie tylko jej niezwykle talent, również rzadką umiejętność swobodnego poruszania się w różnym stylistycznie repertuarze. Wtedy pojąłem, że pomaganie tej dziewczynie, organizowanie kolejnych wydarzeń, jej „rozruszanie sceniczne” (tak to kiedyś określiła) jest tym, co mogę i chcę robić!

Cztery lata, blisko pięćdziesięciu muzycznych wydarzeń. Koncerty, występy, festiwale. Organizacja, media, sponsorzy. Projekty, przygotowania, dyskusje. Śrem i wyjazdy... Sporo okazji, by się poznawać. Wiedzieć czego się po sobie spodziewać, ale też bywać zaskakiwanym. Bo nadawanie na tych samych falach, lecz... *Trudno*

za mną nadążyć, ale przynajmniej nie jest nudno. Niektórzy mówią, że właśnie dlatego mnie lubią. Jestem z tych „niektórych”, choć lubię nie tylko dlatego.*

Co zaobserwowałem? Talent poparty pracą, by się rozwijać, nie stać w miejscu. Otwieranie kolejnych muzycznych i życiowych rozdziałów. Wymaganie od siebie w dążeniu do celu, perfekcjonizm. Świadomość znaczenia przypadku czy „szczęścia” decydującego o sukcesie w tej niewymiernej konkurencji. Rosnący profesjonalizm. Traktowanie występu w wiejskiej świetlicy dla kilkudziesięciu widzów tak samo poważnie jak w telewizyjnym show oglądanym przez miliony. A nie tylko muzycznie? Rozwój osobowości, radość życia i pogoda ducha. Wrażliwość, impulsywność, szczerość. Świadomość, aby zrobić tylko i aż tyle ile można i godzić się z tym, na co nie ma się wpływu.

Mnóstwo wspomnień. Radosne, satysfakcjonujące, stresujące bądź wręcz wkurzające. Jedna z sytuacji pokazujących Roxanę od kulis: „Must be the Music”. Przez cały dzień wywiady, próby z muzykami, kamerzystami, dźwiękowcami itd. Występ przed jury dopiero wieczorem... A Ona? Przed „tym” skupiona, zmęczona, może spięta... Na scenie odmieniona; jest „u siebie”, jest sobą, tryska energią i naturalnością. Nie mnie oceniać efekt. Uczyniły to profesjonalnie i entuzjastycznie Kora i Elżbieta Zapendowska!

To, ile znaczy dla Roxany scena i publiczność, widziałem wiele razy. Szczególne wrażenia pozostawił nasz pobyt w Belgii.**

Co zyskałem przez te lata? Radość! Bo – nawiązanie szczerego kontaktu z młodą osobą; uzyskanie jej zaufania; satysfakcja z osiągnięć, rozwoju, życiowego dojrzewania, usamodzielniania się. Bo – też się uczyłem. Może razem się nauczyliśmy? Poznawania ludzkich zachowań. Przyjmowania sukcesu i porażki. Pokory (plany a realizacja, obietnice i -?). Doświadczenia tego swojskiego „cudze chwalić...”.

Podsumowaniem naszej współpracy była „Aria do głupoty” (koncert w czerwcu 2016). Uznaliśmy, że Roxana powinna „wyfrunąć”, kończąc ten śremski etap.

Roxana Tutaj

Wokalistka, aktorka scen muzycznych. Absolwentka Policealnego Studium Piosenkarского im. Czesława Niemena w Poznaniu. Półfinalistka 9. edycji „Must Be The Music. Tylko Muzyka”. Laureatka m.in.: X Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Retro w Warszawie, XV Ogólnopolskiego Festiwalu Interpretacji Piosenki Aktorskiej w Bydgoszczy, VI Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki w Luboniu. Koncertowała w Polsce (Warszawa, Poznań, Sopot, Świnoujście, Mogilno, Płock, Ostróda i... Śrem z okolicą) oraz w Niemczech, Belgii, Anglii. Doskonale czuje się w różnych stylach i gatunkach, jak soul, r&b, jazz, poezja śpiewana, piosenka aktorska. Współpracowała z zespołami Bunch of Grapes, Old Garret i Reggaeside, z którym w 2016 r. nagrała płytę (piosenka *Czas* trafiła na radiowe listy przebojów).

*Pisze teksty. Każdy może napisać tekst, ale nie każdy tekst chwyci za serce. Wierzę i mam nadzieję, że takie piosenki z dawką intymności, uda mi się tworzyć.**

Roxana zaczyna nowy muzyczny rozdział. Znowu przygotowuje niespodzianki! Coś wiem (jeszcze czasem doradca) – ale nie powiem. :) Przecież – *Nie każdemu pokazuję siebie.** Obserwujmy uważnie!

Leszek MAŃKOWSKI
fot. zbioru autora

* Roxana Tutaj o sobie

** Z Roxaną w Belgii, „Gazeta Śremska” nr 9-10/2015

Gimnazjum

100 lat przy Szkolnej

11 maja 2016 roku minęło 100 lat od powstania szkoły przy ul. Szkolnej 4 w Śremie. W ciągu wieku przechodziła wiele zmian. Struktura, nazwy, patroni... Szkoła nierozłącznie związana z miastem, szczególnie z jego prawobrzeżną częścią. W jej murach uczą się kolejne pokolenia. Niezwykły jubileusz to dobry powód do wspomnień. W cyklu artykułów przypominam nie tylko fakty historyczne. Przywołuję też osobiste wspominki. Mam ich wiele, jak każdy, kto do tej szkoły uczęszczał, w niej pracował...

W 1999 roku wprowadzono w Polsce reformę systemu edukacji. Powstały 6-letnie szkoły podstawowe i 3-letnie gimnazja. Rada Miejska w Śremie wprowadziła nową sieć szkół podstawowych i gimnazjalnych. Tak szeroka reforma wymagała odpowiednio wcześniej rozpoczętych

przygotowań, poprzedzonych konsultacjami z nauczycielami i rodzicami uczniów. Był czas na opracowywanie programów, przesunięcia kadrowe, odpowiednie wyposażenie szkół.

1 września 1999 r. w budynku przy Szkolnej 4 rozpoczęło działalność Publiczne Gimnazjum nr 2 w Śremie. Obwód szkoły w mieście był duży. „Dwójka” swoim zasięgiem objęła również część lewobrzeżnego Śremu (aż po ul. Nowa Strzelnica!). Do 31 sierpnia 2003 r. integralną częścią Gimnazjum nr 2 były też oddziały klasowe w Zbrudzewie. Granice obwodu określały, że uczniami gimnazjum mieli stawać się przede wszystkim absolwenci śremskiej Szkoły Podstawowej nr 1 oraz szkół ze Zbrudzewa i Dąbrowy. Zmiany organizacyjne były ściśle powiązane z tymi programowymi. Tworzyliśmy od podstaw programy nauczania i wychowania. Powstawały

Nadanie imienia, 2000r.





Sztandar dla gimnazjum, 2003 r.

u nas, szkoła miała autonomię co do szczegółowego programowania i planowania. Ogólne ramy ministerialne należało wypełnić własną treścią stosowną do potrzeb i warunków środowiska działania gimnazjum. Wprowadziliśmy Program wychowawczy, Program profilaktyki, oryginalny Wewnątrzszkolny System Oceniania. Nauczyciele dokonali wyboru programów nauczania (lub tworzyli własne, autorskie) i podręczników. Wypracowano specyficzne dodatkowe formy pracy, np. zajęcia integracyjne w pierwszym okresie pobytu uczniów w nowym miejscu i nowych zespołach klasowych. Później stopniowo kolejne, jak zajęcia profilaktyki, lekcje doradztwa zawodowego, zajęcia wyrównawcze i przygotowujące do egzaminów na zakończenie nauki. Systematycznie modernizowano bazę szkoły. Wyposażano pracownie przedmiotowe w sprzęt i nowoczesne pomoce. Już od grudnia 1999 r. funkcjonowała pracownia internetowa. W 2004 r. uruchomiono sieć internetową w pracowniach, bibliotece i pomieszczeniach administracyjnych. W 2008 r. nastąpiło otwarcie nowej szkolnej pracowni informatycznej. Budynek też miał swoje

potrzeby... Sala „Bazar” była modernizowana dwuetapowo – w 2002 r. niezbędny pilny remont i 4 lata potem modernizacja, przebudowa do dzisiejszego stanu. A przy Szkolnej? Między innymi: odrestaurowanie zabytkowego zegara wieżowego (2002), remont dachu (2004), wymiana okien i drzwi (2009) i zakrojona na szeroką skalę termomodernizacja (2011).

Tworząc gimnazjum nie można było zgubić wieloletnich tradycji Dwójki. To, co dobre musi przetrwać, więc... 14 czerwca 2000 r. – zgodnie z wolą społeczności szkolnej – ks. Piotr Wawrzyniak „objął patronat” nad gimnazjum, aby szkoła kultywowała jego idee a dla uczniów był on wzorem aktywnego, twórczego, skutecznego działania. Wielostronna działalność Patrona ułatwiła dobór różnorodnych form pracy wychowawczej, pozalekcyjnej, cały szereg związanych z osobą Patrona działań w szkole i poza nią.

14 czerwca 2003 r. odbyła się niezwykła uroczystość przekazania i poświęcenia sztandaru Gimnazjum. Działo się to przed Ratuszem, w ramach



90-lecie szkoły, 2006r.

obchodów 750-lecia Śremu. Lata 2009-2010 to czas obchodów 160. rocznicy urodzin i 100. rocznicy śmierci ks. Piotra Wawrzyniaka i znaczący udział szkoły w wielu wydarzeniach. Wymieńmy niektóre, jak spektakl *Sceny z życia Księdza Patrona* w wykonaniu nauczycieli Gimnazjum (7 przedstawień w Śremie i występ w Mogilnie) czy też Happening *Przeszłość dla przyszłości*, zorganizowany przez Towarzystwo im. Ks. Piotra Wawrzyniaka i Śremski Ośrodek Kultury przy wsparciu Gimnazjum.

W dalszym ciągu – współdziałanie z miejskimi instytucjami i stowarzyszeniami. Trwała współpraca z Mogilnem, gdzie również pracował nasz Patron – wyjazdy uczniów, nauczycieli, rodziców na grób Patrona i kontakty z tamtejszą Farą. Rozpoczęła się współpraca z mającym tego samego patrona mogileńskim gimnazjum.

Zachowaliśmy historyczne, opisywane wcześniej, szkolne tradycje. Powstały nowe obyczaje: nagradzanie najlepszych absolwentów Złotą Odznaką „Primus inter pares”, wyróżnianie uczniów szczącących się szczególnymi osiągnięciami podczas dorocznych spotkań „Szkolne Talenty”, organizowanie przed zakończeniem

nauki Balów Absolwentów, imprezy z okazji Dni Europy... Co 5 lat były obchody kolejnych jubileuszy Dwójki (zawsze wiele imprez w szkole i mieście, różne formy, okolicznościowe wydawnictwa, spotkania itd.).

Poza lekcjami

Praca owocująca zwycięstwami uczniów w konkursach przedmiotowych i artystycznych, w zawodach sportowych. Zajęcia rozwijające uzdolnienia uczniów. Prezentacje artystyczne nie tylko w szkole. Rzadko spotykaną nowością był powstały w 2004 r. Teatr nauczycielski występujący i dla uczniów, i mieszkańców Śremu. Nota bene zachowana została ta szczególnie więź z miastem, prezentacja osiągnięć szkoły i organizowanie imprez dla społeczeństwa... Oczywiście także nadal rozwijająca się, często w nowych formach, aktywność w sferze kultury czy sportu. Działalność gimnazjalnych grup artystycznych, zespołów sportowych. Prezentacje, publikacje uczniowskich dzieł, szkolne czasopismo „Nasza Dwójka”. Wychodzenie na zewnątrz: międzyszkolne konkursy (np. Konkurs Poezji Bożonarodzeniowej) i mistrzostwa w różnych sportowych dyscyplinach. „Śremsong” – powrócił do nas na odnowiony „Bazar” w 2008 r. i znowu odszedł (tuż



Happening historyczny, 2009 r.

przed 100-leciem). Informacje o szkole w mediach, własne filmy i programy telewizyjne, strona internetowa...

Szczególne osiągnięcia i wyróżnienia

Wśród nich: zdobyty zbiorowym całorocznym wysiłkiem certyfikat „Szkoła z klasą” (2003) dopełniony dyplomem od Prezydenta Rzeczypospolitej; Medal Towarzystwa im. Ks. Piotra Wawrzyniaka w Śremie za udział w organizacji budowy i uroczystości odsłonięcia pomnika ks. Wawrzyniaka (2000); II nagroda na Międzynarodowym Katolickim Festiwalu Filmów i Multi-mediów za film *Król Czynu* o ks. Patronie.

Kolejną organizacyjną metamorfozą to powrót na ul. Szkolną szkoły podstawowej i, w związku z tym, nowa nazwa placówki. Od 2014 roku działa Zespół Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Śremie. Znowu zmiany, modernizacje – dostosowywanie szkoły i wyposażenia dla młodszych dzieci.

W 1999 roku wprowadzono w Polsce reformę systemu edukacji. Powstały gimnazja. Dobre przygotowanie zmian, praca nauczycieli, wsparcie rodziców, prawie 20 lat poprawiania, korygowania, doskonalenia i...? W tył zwrot! Niczego nie żał?...

Postscriptum

100 lat „Dwójki” minęło. Ten cykl, rozpoczęty w styczniu ub.r., przypominający fakty z jej niezwykłej historii można by zakończyć. Ale – dzięki uprzejmości Redakcji – będzie suplement! Warto chyba niektórym wydarzeniom przyjrzeć się bliżej, napisać o nich więcej i już nie tak suchofaktograficznie. Może z lekkim przymrużeniem oka?

Zapraszam do lektury kolejnych wydań „Gazety”.

Leszek MAŃKOWSKI
fot. zbiorze szkolne



Więści z ratusza

STATUETKI „ŚREMSKIE ŻYRAFY” ZA NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIA

Corocznie Burmistrz Śremu Adam Lewandowski przyznaje statuetki „Śremskiej Żyrafy” osobom, których inicjatywa i sukces są nietuzinkowe, rozślawiają Śrem w kraju oraz poza jego granicami, a także motywują innych do podejmowania prób przekraczania własnych barier.

Za dokonania i zasługi w 2016 roku Burmistrz Śremu ogłosił 6 nominacji.

Olga Garstka

zwycięzcy „Must Be The Music”

Uczennica Liceum Ogólnokształcącego i Państwowej Szkoły Muzycznej I stopnia w Śremie. Utalentowana wokalistka i pianistka. Zwycięzcy 11. edycji „Must Be The Music”, muzycznego show telewizji Polsat. Piosenkami własnego autorstwa *Samozapłon* oraz *Koniec świata* zdobyła serca i głosy jurorów oraz publiczności.

Hubert Skrzydlewski

mistrz taekwondo

Hubert jest numerem jeden w Polsce w taekwondo w kategorii wagowej – 78 kg junior (15-17 lat). Niepokonany w Pucharach Polski w 2016 roku. Zdobył wiele tytułów i medali: złoty medal w Pucharze Świata w Łotwie, srebrny medal w Pucharze Świata w Warszawie, brązowy medal w Pucharze Świata w Serbii oraz w Niemczech. Po raz pierwszy wywalczył brązowy medal w kategorii seniorów Mistrzostw Polski Seniorów. Był jednym z 8 zawodników (2 mężczyzn) powołanych przez Polski Związek Taekwondo Olimpijskiego na Mistrzostwa Świata w Kanadzie, gdzie zdobył 9. miejsce.

Beata i Sława Szymiczek

Fit Therapy

Siostry, miłośniczki sportu i zdrowego stylu życia. Trenerki personalne, które dla popularyzacji zdrowia i dobrej formy fizycznej prowadzą na

Olga Garstka – zwycięzcy „Must Be The Music”





Hubert Skrzydlewski – mistrz taekwondo

terenie Śremu otwarte treningi fitness. Podczas wakacji w każdą sobotę organizują wspólne biegi. Trenerki dzielą się swoją pasją i wiedzą na portalach społecznościowych, zarażając sportem wielu śremian.

Sztafeta pływacka

Grupa 14 osób, która w lipcu 2016 r. przez 6 dni i 5 nocy przepłynęła 500 km rzeką Wartą bez przerwy w VI sztafecie pływackiej pn. Wartą dla Chojraków. Celem akcji, oprócz pobicia rekordu Guinnessa, było zebranie funduszy na rozbudowę Kliniki Onkologii, Hematologii i Transplantologii Pediatrii Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu.

W sztafecie płynęli: Stefan Cieślewicz, Andrzej Dworczak, Kacper Gabrysiak, Adam Jerzykowski, Wiktoria Kasprzak, Julia Klejszmit, Hanna Mazurczak, Alina Nawrot, Marek Pietraszewski, Anna Rudziakowicz, Monika Sury-Walterowicz, Adrianna Wawrzyniak, Agata Winkler oraz pomysłodawca Roman Bartkowiak.

Planszoteka

spotkania przy grach planszowych

Śremski Klub Miłośników Gier Planszowych „Planszoteka” to organizacja non profit, mająca na celu propagowanie spędzania wolnego czasu przy grach planszowych. Zamiłowanie do planszówek odkryło w sobie już wielu mieszkańców gminy Śrem. Stowarzyszenie łączy ludzi w każdym wieku, z zaangażowaniem organizując sobotnie spotkania przy planszówkach w śremskiej

Bibliotece Publicznej.

Pasjonaci i propagatorzy gier to: Adam Grzegorzczak, Artur Grzegorzczak, Katarzyna Leszczyńska, Marcin Leszczyński, Anita Mansfeld, Krzysztof Mansfeld i Marcin Walczak.

Klasa piłkarska z SP6

W czerwcu 2016 roku w Głucholazach klasa VI piłkarska ze Szkoły Podstawowej Nr 6 w Śremie zwyciężyła w Ogólnopolskim Finale Igrzysk Młodzieży Szkolnej w Mini Piłce Nożnej Chłopców.

Skład zespołu: Borys Boczar, Jakub Tomaszewski, Bartosz Kabaj, Hubert Osiewicz, Szymon Kędziora, Filip Wilkowski, Mikołaj Urbanek, Paweł Rubach, Michał Wojciechowski, Maksymilian Hyżyk, Damian Kołtański, Kamil Chiliński. Ponadto zawodnicy otrzymali również nagrody indywidualne: Borys Boczar został najlepszym bramkarzem, a Maksymilian Hyżyk najlepszym zawodnikiem turnieju.

„Śremskie Żyrafy” dla noworodków

Urząd Miejski w Śremie informuje, że wszystkie dzieci, które urodzą się w 2017 roku i zostaną zameldowane na terenie gminy Śrem w Urzędzie Stanu Cywilnego w Śremie otrzymają pajacyki z logo „Śremskie Żyrafy”.

Już od dziesięciu lat Burmistrz Śremu przyznaje mieszkańcom gminy tytuł „Śremskiej Żyrafy” za oryginalne inicjatywy, osiągnięcia oraz działania, które przyczyniają się do promocji gminy Śrem w kraju i na świecie. Z pewnością wśród



Beata i Sława Szymiczek – Fit Therapy

nowo narodzonych znajdą się osoby, które w przyszłości odegrają ważną rolę w budowaniu wizerunku Śremu.

BEZPŁATNA KOMUNIKACJA MIEJSKA

Gmina Śrem jest samorządem, który od 1 lipca 2016 r. oferuje mieszkańcom bezpłatną komunikację miejską.

Pomysł bezpłatnej komunikacji nie jest nowy. W samorządach w Polsce funkcjonują już darmowe przejazdy dla mieszkańców. W miastach, które zdecydowały się na uruchomienie bezpłatnej komunikacji miejskiej liczba podróżujących zwiększyła się, co przełożyło się na ograniczenie ruchu pojazdów w mieście. Czy w Śremie uzyskano podobne wyniki?

Liczba przewiezionych pasażerów od lipca 2016 r. do listopada 2016 r. w porównaniu z rokiem ubiegłym zdecydowanie wzrosła.

GMINA Z MISJĄ

Działania Gminy Śrem na rzecz walki z niską emisją zostały docenione w Konkursie „Gmina z misją” organizowanym przez Abrys Sp. z o. o. w ramach ogólnopolskiej kampanii informacyjno-edukacyjnej nt. przeciwdziałania występowaniu zjawiska niskiej emisji „MISJA-EMISJA”.

Przedmiotem konkursu jest upowszechnienie oraz uhonorowanie wszelkich podejmowanych przez miasta i gminy działań (informacyjnych, edukacyjnych i inwestycyjnych), zmierzających do likwidacji na ich terenie problemu niskiej emisji. Rywalizacja odbywa się w trzech katego-

riach: miasta powyżej 100 tys. mieszkańców, miasta od 50 do 100 tys. mieszkańców, a także gminy i miasta do 50 tys. mieszkańców. Za każde działanie, mające na celu likwidację niskiej emisji, są przyznawane punkty. W konkursie wygra ta jednostka, która zdobędzie największą ilość punktów, a tym samym wykaże się największą aktywnością w walce z niską emisją.

Gmina Śrem, jako tegoroczny debiutant, zdobyła 38 punktów i do lidera w kategorii gmin i miast do 50 tys. mieszkańców straciła tylko 4 punkty. Działania Gminy, docenione przez organizatorów konkursu, to między innymi: termomodernizacja budynków, zorganizowanie wsparcia finansowego dla mieszkańców, zamieniających ogrzewanie węglowe na bardziej ekologiczne (dotacje celowe z budżetu Gminy na dofinansowanie kosztów inwestycji w zakresie ochrony środowiska i gospodarki wodnej), współpraca z powiatem śremskim w zakresie realizacji zadania polegającego na likwidacji wyrobów budowlanych zawierających azbest na terenie powiatu śremskiego, rozbudowa, przebudowa, modernizacja dróg, opracowanie i sukcesywna realizacja Planu gospodarki niskoemisyjnej gminy Śrem, opracowanie „Programu ochrony środowiska dla gminy Śrem na lata 2016-2019 z perspektywą na lata 2020-2023”, zawierającego zagadnienia związane z ograniczaniem niskiej emisji, prowadzenie edukacji ekologicznej społeczeństwa na temat wykorzystania proekologicznych nośników energii i szkodliwości spalania materiałów odpadowych, wprowadzenie bezpłatnej komu-



Sztafeta pływacka Wartą dla Chojaków

nikacji miejskiej, uczestnictwo w akcji „Dzień bez samochodu”, uczestnictwo w akcji „Godzina dla Ziemi”, współpraca ze Strażą Miejską w zakresie kontroli spalania w piecach na terenie gminy.

GMINA ŚREM W TOP 5 W RANKINGU MIAST PRZYSZŁOŚCI

W grudniu 2016 r. Gmina Śrem została doceniona w międzynarodowym rankingu „Polskich Miast Przyszłości 2017/2018” prowadzonym przez oddział gazety Financial Times – fDi Intelligence (fDi’s Polish Cities of the Future 2017/18).

Ranking prowadzony jest w pięciu kategoriach:

- potencjał ekonomiczny,
- kapitał ludzki i styl życia,
- efektywność kosztów,
- łączność,
- przychylność dla biznesu.

Gmina Śrem znalazła się w najlepszej piątce w kategorii efektywności kosztowej wśród miast małych, liczących poniżej 100 tys. mieszkańców.

ZAKOŃCZONO REMONT WAŁÓW PRZECIWPOWODZIOWYCH W GMINIE ŚREM

Dnia 13 grudnia 2016 r. odbyło się oficjalne zakończenie II etapu odbudowy wałów prawostronnych i lewostronnych rzeki Warty na terenie gminy Śrem.

Przybyłych do miejscowości Kawcze na uroczystość oddania wałów przywitał Arkadiusz Błochowiak Dyrektor Wielkopolskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Poznaniu,

który przedstawił zarys zabezpieczeń przeciwpowodziowych w Wielkopolsce oraz zakres prac remontowych wałów rzeki Warty.

Burmistrz Śremu Adam Lewandowski podziękował w imieniu mieszkańców za modernizację wałów przeciwpowodziowych i zapowiedział remont ostatniego odcinka wałów przez gminę. Historię śremskich umocnień przeciwpowodziowych przybliżył Henryk Talaska Kierownik Inspektoratu Wielkopolskiego Zarządu Melioracji i Urządzeń Wodnych w Śremie.

Wały przeciwpowodziowe otaczające Śrem zostały wykonane w latach czterdziestych według rozwiązań stosowanych na początku wieku. Nieremontowane zabezpieczenia wielokrotnie spełniły swoje zadanie zabezpieczając Śrem przed powodzią, a prowadzony od 2015 remont wałów był koniecznością.

Głównym celem prowadzonych prac było zwiększenie stabilności oraz zabezpieczenie szczelności wałów. Do wzmocnienia wałów wykorzystano najnowsze technologie. Prace remontowe polegały na rozbiórce korony wałów, zamontowaniu ścianki szczelnej, zabezpieczeniu podłoża specjalistyczną nieprzepuszczalną matą, zagęszczeniu warstw oraz odbudowie korony wałów.

I etap odbudowy wałów zrealizowany został w 2015 r. Koszt remontu wyniósł ponad 4 mln zł. II etap, zrealizowany w 2016 r., kosztował ponad 4,7 mln zł.



Planszoteka – spotkania przy grach planszowych

POSTAW NA RODZINĘ

W dniach 9-11 grudnia 2016 r. odbyła się impreza kulturalna „Postaw na Rodzinę” skierowana dla rodzin wielodzietnych w ramach Programu „Rodzina 3+”. Impreza odbyła się w gminnych placówkach kulturalnych.

Biblioteka Publiczna im. H. Święcickiego 9 grudnia 2016

1. kino rodzinne w sali audiowizualnej biblioteki
2. interaktywny plac zabaw „przeBUDOWA”
3. rodzinne bajko-gry w „PLANSZOTECE”
4. bajkowa plansza gigant w sali animacji
5. zajęcia w MEDIATECE
6. pracownia komputerowa – Internet i gry
7. karta czytelnika.

Śremski Ośrodek Kultury

10 grudnia 2016

spektakl teatralny *Ognik i Chinkowe marzenie* w wykonaniu Teatru KULTURKA, MANUFAKTURA ŚWIĄTECZNA, dwa seanse filmowe w Kinoteatrze „Słonko”.

Muzeum Śremskie

11 grudnia 2016

zajęcia edukacyjno-artystyczne „Zaczarowany Świat Lalek”, sesja zdjęciowa zaaranżowaną w muzealnym Fotoatelier z wykorzystaniem kostiumów z minionych epok, projekcja filmów z cyklu „Muzeum utracone”.

Klasa piłkarska z SP6



Wspomnień czar

95. rocznica Klubu Sportowego Warta

We wrześniu 2016 r. brałem udział w uroczystościach związanych z 95. rocznicą powstania Klubu Sportowego Warta. Takie wydarzenie skłania do wspomnień, ocen, pochwalenia się sukcesami i planami na przyszłość. To okazja do spotkania ludzi związanych z klubem, działaczy i zawodników, którzy go reprezentowali. Jest to również okazja do spotkania się z kolegami, z którymi wspólnie reprezentowaliśmy klub, a których dawno nie widzieliśmy.

To sobotnie przedpołudnie spędziłem w gronie kilku byłych koszykarzy Warty. Nie będę opisy-

wał osiągnięć sekcji, jej wzlotów i upadków, przypomnę tylko, że w swoim najlepszym okresie Warta walczyła o wejście do II ligi, a ówczesna II liga to był prawdziwy drugi poziom w hierarchii ligowej. Jak wygląda sytuacja dzisiaj? Dziś sekcja zajmuje się szkoleniem i prowadzeniem drużyn młodzieżowych.

Jak wspomniałem, miałem okazję spędzić czas z ludźmi, którzy w większości grali w okresie największych sukcesów. Ci ludzie to: Janusz Szuflita, Bogdan Kucharski, Tomasz Tomysław, Jarosław Marcinkowski, Mirosław Michalak

Od lewej: Tomasz Zarębski, Maciej Turajski, Adam Gęstwa, Artur Dziuba, Marcin Końpa, Sławek Simon
Z przodu: Mariusz Chiliński, Marek Szuflita, Krzysztof Królikowski





Roczniki 1969-1972

oraz zawodnik młodszej generacji Mariusz Chyliński. Z przyjemnością przysłuchiwałem się rozmowom, wspomnieniom i podziwiałem wspinałą pamięć uczestników spotkania. Panowie bardzo dokładnie pamiętali szczegóły wydarzeń, które miały miejsce wiele lat temu, wspominali mecze i wydarzenia z nimi związane.

Dla mnie to też był powrót do przeszłości, gdyż w tamtych latach byłem kibicem Warty. Dlatego z przyjemnością przypomnę niektóre postacie tworzące historię sekcji koszykówki Warty. Pierwsza z nich to Janusz Szufliła, człowiek związany z sekcją od lat siedemdziesiątych. Człowiek, który w dziejach sekcji odegrał jedną z najważniejszych ról. Wychowanek Pogoni Wschowa, do Śremu trafił z Jarocina i co ciekawe, nie do klubu, tylko do pracy. Już pracując w Odlewni Żeliwa związał się z Wartą. W latach 1971-1974 był zawodnikiem, 1974-87 zawodnikiem i trenerem, od 1987 do 2010 r. był trenerem. Karierę zakończył w wieku 40 lat w 1987 roku.

Największe sukcesy to lata 1983-1987, gdy Warta uczestniczyła w barażowych rozgrywkach o wejście do II ligi. Po zakończeniu kariery zawodniczej i trenerskiej został sędzią koszykarskim. Do dzisiaj na bieżąco interesuje się co się dzieje w śremskiej koszykówce. Za swoje zasługi dla koszykówki wyróżniony został srebrną i brązową odznaką Polskiego Związku Koszykówki i odznaką za Zasługi dla Rozwoju Województwa Poznańskiego.

Dla mnie prawdziwą legendą śremskiej koszykówki jest pan Bogdan Kulawski – zanim trafił do Warty był zawodnikiem Polonii Leszno i Warty Poznań. Barwy Warty Śrem reprezentował od 1971 r. Uroczystie pożegnano go w 1988 r. Pan Bogdan przez całą karierę był podstawowym zawodnikiem Warty. Godny odnotowania jest fakt, że był pierwszym w Śremie zawodnikiem, który „wkładał” piłkę do kosza. Kibice zapamiętali jego dynamiczne wejścia pod kosz oraz walkę w strefie podkoszowej.

W przeciwieństwie do dwóch wymienionych wyżej panów, rodowitym śreńmianinem w barwach Warty był pan Tomasz Tomyślak, grający w klubie w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Zapamiętano go jako zawodnika grającego technicznie i dobrego strzelca. Po zakończeniu kariery był długoletnim sędzią koszykarskim.

Najbardziej znanym zawodnikiem Warty jest pan Jarosław Marcinkowski – reprezentant Polski, wychowanek Warty w 1981 r. przeszedł do Lecha Poznań, wtedy czołowej polskiej drużyny. W latach 1983-85 grał w Legii Warszawa, odbywając w niej służbę wojskową. Po powrocie do Lecha był zawodnikiem pierwszej piątki. Był to okres największych sukcesów Lecha, zaliczanego do czołowych klubów europejskich. Występował m.in. z Eugeniuszem Kijewskim i Jarosławem Jechorkiem, 43 razy reprezentował Polskę. Pan Jarosław zakończył karierę zawodniczą w pierwszoligowej Noteci Inowrocław. Z Lechem trzykrotnie zdobywał mistrzostwo Polski.

Z największymi sukcesami Warty związana jest osoba pana Mirosława Michałaka, kibice zapamię-

nęli pana Mirosława jako młodego zawodnika o świetnej technice wchodzącego do drużyny. Niestety, niektórzy uważają, że nie zrobił kariery na miarę swojego talentu, gdyż przedwcześnie zakończył karierę sportową.

Inne pokolenie koszykarskie reprezentuje pan Mariusz Chiliński, zawodnik drużyny młodzików, która w 1990 r. zdobyła tytuł Mistrza Okręgu Poznańskiego. W latach późniejszych grał z powodzeniem w drużynie seniorskiej. Aktualnie pan Mariusz jest kierownikiem sekcji koszykówki Warty Śreńm.

Przy stole toczyła się ciekawa dyskusja o minionych czasach, kolegach i ciekawych wydarzeniach. Chcę Państwu kilka takich wspomnień przedstawić.

Jak już wspomniałem, pan Szuflita trafił do Śreńmu do pracy w odlewni. Podczas przerwy w tzw. naradzie roboczej rozmowa zesła na temat śreńmskiej koszykówki, wtedy pan Janusz wspominał, że jako zawodnik występował w III lidze. Informacja ta dotarła do znanego działacza Tadeusza Małeckiego, który wciągnął pana Jnausza

Warta na meczu w Kołobrzegu, tym razem rodzinie





Zespół Warty 1979/1980

do sekcji i tak rozpoczęła się wieloletnia przygoda z Wartą.

Zaciekawiło mnie wydarzenie związane z Panem Bogdanem Kulowskim. Słynął on z twardej walki podkoszowej, większość punktów zdobywał właśnie z tej strefy, odbijając piłkę o tablicę. Był zawodnikiem leworęcznym i płynne były jego haki, którymi zdobywał punkty odbijając piłkę w tablicę. Tymczasem podczas jednego z meczów Pan Bogdan zdobył punkty rzutem z samego narożnika boiska. Wielu powie nic wielkiego, ale prawdziwy wyczyn polegał na tym, że piłka przed wpadnięciem do kosza odbiła się o tablicę. Koledzy żartowali sobie z Pana Bogdana, że do dzisiaj nie wie jak to zrobił.

Najwięcej wspomnień związanych było z Panem Jarosławem Marcinkowskim. Pierwsza niespodzianka – nie zaczynał uprawiania sportu od koszykówki, będąc uczniem SP nr 2 w Śremie trenował szermierkę, startował w tej dyscyplinie na spartakiadzie młodzieży. Koszykówką można powiedzieć zajął się przypadkowo, treningi koszykarzy odbywały się po treningu szermierzy i często zostawał po treningu żeby porzucać do kosza. Namawiany do treningów koszykarskich

obawiał się co powie trener szermierki, w końcu podjął decyzję z wiadomym skutkiem. Ciekawe były kulisy przenosin z Warty do Lecha, tak naprawdę miał się przenieść do Spójni Stargard Szczeciński, decyzja o przeniesieniu do Lecha zapadła błyskawicznie. Bardzo chciała go mieć Legia Warszawa, Pan Jarek nie miał ochoty przenosić się do Legii, ale był w wieku poborowym i groziło mu powołanie do służby wojskowej, w sytuacji prawie bez wyjścia, podjął decyzję o przenosinach do Legii, w barwach której odbył służbę wojskową. Z dzisiejszej perspektywy była to decyzja korzystna. Lech to wtedy czołowa polska drużyna, w której młodemu zawodnikowi trudno było wywalczyć miejsce w pierwszej piątce, w Legii niżej notowanej od Lecha, to miejsce szybko sobie wywalczył. Po powrocie do Poznania był jednym z czołowych zawodników Lecha. Wspominano jaką trudność sprawiało zdobycie odpowiednich butów, było wielką sztuką.

Wydarzeniem, które utkwiło w pamięci panów, to wyjazd na mecz barażowy o wejście do II ligi z Kotwicą Kołobrzeg. Wieczorem po zakwaterowaniu drużyna postanowiła zjeść kolację. Kołobrzeg to uzdrowisko i w sobotę znaleźć wolne



Piątka Warty sezon 1973/1974

miejsca w restauracji było bardzo trudne. Wreszcie w jednej z nich, kelner gdy zobaczył grupę wysokich mężczyzn, zapytał: panowie to koszykarze ze Śremu? Gdy potwierdzili, stwierdził, że co prawda miejsc wolnych nie ma, ale przyjdzie za chwilę, to coś załatwimy. Rzeczywiście miejsca się znalazły, a gdy wychodzili kelner pożegnał ich słowami, to do jutra na meczu. Gdy tego słuchałem, to pomyślałem sobie, że mieli szczęście bo trafili na śremianina. Puenta wydarzenia była zaskakująca, bo pan kelner do słów do zobaczenia na meczu dodał, ale i tak wygra Kotwica. Okazało się, że to był kibic Kotwicy. Zastanawiałem się czy dzisiaj taka sytuacja byłaby możliwa, a tak na marginesie tamten mecz wygrała Kotwica.

Opisałem spotkanie kilku kolegów, którzy chętnie wrócili do dawnych wydarzeń, którym ten powrót sprawił wielką przyjemność.

W oficjalnej uroczystości brało udział wielu innych byłych zawodników, ja już w tym spotka-

niu nie brałem udziału, ale obserwując jak wspólnie się bawią, to myślę, że był to dalszy ciąg wspomnień w większym już gronie.

Zastanawiałem się co łączy dawną Wartę z dzisiejszą? Sądzę, że tradycja, ludzie, czego najlepszym przykładem jest Pan Mariusz Chiliński, który jest kierownikiem sekcji.

Następna refleksja jest taka, że nie należy czekać do 100-lecia Klubu, lecz natychmiast przystąpić do opracowania monografii Klubu, a przypomnę, że istnieje praca Pana Józefa Ratajczaka *70-lecie sportu śremskiego 1921-1991*, z której można skorzystać.

Zdzisław ŻELEŹNY

Wspomnienia z mojego fyrtla

Śremskie fyrtle

Urodziłam się i wychowałam w Śremie. Od urodzenia mieszkałam przy ulicy Wyzwolenia (dawniej Przemysława, obecnie Matuszewskiego). Mieszkałam w dwupiętrowej kamienicy na parterze. Do mieszkania wchodziło się przez długą sien, która z kolei prowadziła na duże podwórko. Na końcu sieni, po stromych schodach, schodziło się do piwnicy. Była ona dla nas –

zwłaszcza dla dziewczynek – miejscem najwyższego wtajemniczenia. To właśnie tutaj dowiedziałam się od starszej koleżanki o symptomach dojrzewania, oraz o tym, w jaki sposób przysłać na ten świat. Po tych tajemnych schadzkach wracałyśmy na podwórko. I właśnie to podwórko było największym skarbem dzieciaków mieszkających w kamienicy. Patrząc na nie okiem

Ferajna z podwórka (autorka tekstu pierwsza z prawej)





Trzy przyjaciółki z podwórka. Od lewej: Lucyna, ja, Wiesia

dziecka, wydawało mi się ogromne. Wzdłuż jednego boku stały drewnutnie, w których przechowywane było drewno na opał. Po drugiej stronie sąsiadka miała mały warzywnik, a za nim rosła jabłoń, której ogromne konary służyły nam do zawieszania huśtawek. Na wiosnę, gdy zakwitła, wyglądała jak panna młoda w białoróżowej kreacji, a smak jej jabłek czuję do dzisiaj. W narożniku stała szopka, w której sąsiad trzymał kozę, za nią ogrodzone siatką miejsce, w którym inny sąsiad hodował kury. Codziennie głośnym gdańkaniem obwieszczały na całą okolicę, że „przytrafiło” im się jajko. Kur pilnował dorodny kogut, który, gdy udało mu się wydostać, niejednokrotnie nas pogonił, broniąc swojego haremu. Aż kiedyś spotkała go nasza zemsta. Zrobiliśmy zasadzkę, złapaliśmy go i wyskubaliśmy kilka piór z ogona. Przez jakiś czas musieliśmy schodzić z drogi rozsierdzonemu sąsiadowi.

Na końcu podwórka stał śmietnik. Był to mурowany pojemnik zamykany metalową kłapą. Idąc wyrzucić śmieci trzeba było w nią popukać, żeby siedzące w śmietniku szczury pochowały się. Odkąd sięgam pamięcią, zawsze wieczorem pomykały wokół śmietnika, i pewnie dlatego dzisiaj widok szczura nie robi na mnie żadnego wrażenia. Podwórko było miejscem naszych zabaw. Były to najczęściej zabawy zespołowe – piłką, w helskę, skakankę, w klasy, w chowanego. Codziennie wymyślaliśmy coś nowego. Podwórko kończyło się dużą bramą, która była zamykana na noc. Bramą można było wyjść na ulicę Dąbrowskiego – równoległą do ulicy Wyzwolenia. Na końcu ulicy, lekko cofnięty w głąb, stał mały sklepik spożywczy. Prowadziły go dwie siostry. Wszyscy nazywali je „Petichy”. Ksywka ta miała dość dziwne pochodzenie. Panie sprzedawały artykuły spożywcze, w tym różne ciastka. Popu-



Mój rodzinny dom obecnie

larne były wtedy ciasteczka Petite Beure. Sprzedawczynie mówiły na nie petity, co później przekształcono na petichy i tak już zostało. Między sklepikiem a sąsiednim domem była wąziutka uliczka nazwana gaską. Wieczorem schodzili się tam amatorzy piwa, gasząc pragnienie po trudach dnia. Zaraz rano, bieглиśmy do gaski by sprawdzić, czy nie leży jakiś pieniążek zgubiony przez klienta będącego w stanie „niemocy cielesnej”. Jaka radość gdy się coś znalazło. Szliśmy do „Petichy”, dostawaliśmy kilka cukierków albo pół dropsa, czym sprawiedliwie się dzieliliśmy.

Ulica Dąbrowskiego kończyła się dużym placem, był to Stary Rynek. Co jakiś czas rozkładała się na nim karuzela. Oj, to dopiero była frajda! Większość czasu spędzaliśmy wtedy przy karuzelach i dopiero rodzice musieli nas stamtąd wyciągać. Całą ferajną podwórka można było

podzielić ze względu na wiek. Były trzy maluchy i większość „starszaków”. Mieszkały też trzy panny na wydaniu. Dawniej, ze ślubem związany był obyczaj, którego ściśle przestrzegano i pielęgnowano. Był to tzw. pojtram. W przeddzień ślubu (a odbywały się one tylko w niedzielę), rozbiegaliśmy się po okolicy i znosili różne stare, dziurawe garnki, patelnie, pokrywki, obręcze, części mebli itp. Wszystko to rzucane było z wielkim hałasem na schody kamienicy. Miało to zapewnić szczęście i dostatek młodej parze. Im więcej takich gratów leciało, tym ich przyszłe życie miało być ciekawsze. Więc wszyscy bardzo staraliśmy się, żeby młodzi byli szczęśliwi. A potem oni biedni, do późnych godzin wieczornych musieli sprzątać to swoje przyszłe szczęście. Prostopadłą do ulicy Wyzwolenia była ulica Zielona, która rozpoczynała się od targowiska na „Gasplacu” a kończyła nad Wartą. Za targowi-

skiem były już tylko obszary zielone ciągnące się aż do parku „Topólki” i „Tama”. Tamą nazywano wał albo nasyp, który miał zabezpieczać domy przed podtopieniem, zwłaszcza wiosną. Gdy zimy były bardzo śnieżne, podczas wiosennych roztopów cały ten teren łącznie z częścią parku był pod wodą. Tylko stojący na pagórku wiatrak górował nad „morzem wody”. Nawet latem teren ten był podmokły i przez wiele lat bezskutecznie próbowano go osuszyć (obecnie jest tu przybłokowe rozarium). Blisko „Tamy” znajdowała się Szkoła Podstawowa Nr 2, w której zaczęłam naukę. Zimą, po lekcjach nigdy nie szliśmy prosto do domu, tylko na „Tamę”. Był to wymarzony teren na zabawy zimowe. Zjeżdżaliśmy na teczkach z wału, kulaliśmy się z niego, prowadziliśmy bitwy śnieżne. Wreszcie przemoczeni szliśmy do domu (często przyplącałam takie zabawy silnym przeziębieniem albo anginą).

Co jakiś czas przejeżdżał przez Śrem tabor Cyganów. Bogato zdobione wozy zaprzężone w konie, grube, w falbaniastych spódnicach Cyganki, dosyć groźnie wyglądający Cyganie, oraz małe cyganiątka – wszystko to było dla nas jakimś innym, magicznym światem. Osiedlali się na kilka dni na terenie między topolami przy „Tamie” (dzisiejsze tereny Inter Marche). Podczas spacerów z rodzicami, zatrzymywaliśmy się, żeby popatrzeć na codzienne życie niecodziennych gości. Stałam i patrzyłam z zachwytem na pasące się konie, na siedzących i palących fajki starych Cyganów, na krzątające się Cyganki i rozbiegane, rozkrzyczane dzieci. Był to inny, obcy, prawie zaczarowany świat. Tajemniczości tej scenerii dodawało palące się o zmierzchu ognisko i rzewne pieśni cygańskie. Starsi nie pozwalali nam samym przychodzić do obozowiska tłumacząc, że Cyganie porywają małe dzieci, zwłaszcza dziewczynki, które mają czarne włosy i czarne oczy. Ponieważ właśnie takie miałam, bałam się i nigdy sama tam nie chodziłam. Cyganki chodziły po domach po prośbie, proponując wróżby lub sprzedając patelnie. Zdarzało się, że po takich obchodach ginęły w tajemniczy sposób kury, króliki lub jakieś rzeczy pozostawione na podwórku. Po kilkudziesięciu dniach, tabor zwiżał się i wyjeżdżał do innego miasta. Było nam żal, bo wraz z nim odchodził inny kolorowy świat. Jaka szkoda, że „Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma”.

Po kilku latach skończyliśmy szkołę podstawową, rozeszliśmy się do innych szkół, i nie było już czasu na zabawy, wygłupy. Przyszły inne zainteresowania...

Po trzydziestu latach mieszkania przy ulicy Wyzwolenia, przeprowadziłam się na Jeziorany. Po jakimś czasie, gdy przychodziłam do miasta, zaczęło mnie kusić, by zajrzeć na moje podwórko. Ale jakiś głos wewnętrzny ostrzegał mnie przed tym – nie idź, bo się rozczarujesz. Walczyłam z tym kilkanaście lat, aż wreszcie chyba sam diabeł mnie pokusił. Weszłam i popatrzyłam. Wydało mi się jakieś mniejsze, ciasniejsze. Nie ma już szopki z kozą, klatki z kurami, śmietnika. Nie ma też jabłoni, za to wzdłuż całej ściany i na środku stoją samochody różnych marek i marek. Owszem – jest czysto i schludnie ale dla mnie to coś obcego. Żał mi tego zakątka, który bezpowrotnie odszedł, tak jak odeszło bezpowrotnie moje beztroskie, szczęśliwe dzieciństwo i młodość. Nie ma też już wielu przyjaciół z podwórka – nie ma już Staszka (to chyba on wyrwał kogutowi pióra z ogona), nie ma Lucyny która mnie uświadamiała, Miecia, który myślał, że kozie bobki to cukierki kawusie. Zawsze mam ich w serdecznej pamięci.

PS. Krótko przed oddaniem tego artykułu spotkałam się po wielu latach z jednym z towarzyszy z podwórka – z Heniem. Och, jak serdecznie sobie powspominaliśmy młode lata, których im jest się starszym, tym bardziej żal.

Urszula CIESIELSKA

Dýnamis

Nie samym chlebem

Pewien żartowniś przeprowadził w zeszłym roku sondę uliczną. Pytał przechodniów, co sądzą o tym, że dzieci, które teraz pójdą do szkoły, będą się uczyły cyfr arabskich. Łatwo zgadnąć, że w dobie zagrożenia atakami islamskich ekstremistów i fali muzułmańskich uchodźców zalewających Europę „oburzenie było powszechne”. Naturalnie w materiale filmowym zabrakło wypowiedzi tych, którzy pojęli żart. Wielu jednak nie pojęło, co jest zabawne tylko w pierwszym odruchu. Gdy się zastanowić nad tym głębiej, można poczuć grozę.

Cyfrы arabskie, które wcale nie są arabskie, bo wymyślone przez Hindusów, sprowadził do Europy Leonardo z Pizy zwany Fibonaccim w pierwszej połowie XIII wieku. Podróżował z ojcem w sprawach handlowych po Afryce Północnej i Bliskim Wschodzie i tam kształcił się m.in. matematycznie, pobierając lekcje u arabskich nauczycieli. Wówczas to właśnie Arabowie skompilowali wiedzę starożytnych Greków z osiągnięciami matematyków z Indii w dość zgrabną teorię zwaną algebrą. Rozwinęli ją oczywiście, dodając swoje spostrzeżenia i wnioski. Europejczycy w tym czasie stosowali niezwykle uciążliwy system znaków rzymskich do zapisu liczb, który – jeszcze wtedy! – nie przewidywał zera, i zajmowali się jedynie zagadnieniami zliczania i mierzenia. Żadnych zagadek, żadnych abstrakcyjnych problemów. Leonardo z Pizy, wprowadzając genialną zdobycz myśli indyjskiej – dziesiątkowy system pozycyjny zapisu liczb, napotkał ogromny opór piśmiennych rodaków. Stwierdzili bowiem, że jest tak łatwy i oczywisty, że teraz każdy poradzi sobie z rachunkami. Stwierdzili też, na szczęście, że matematyka jest nauką wartą uwagi. To był przełom,

który zaowocował rozwojem europejskiej myśli matematycznej, do dziś wiodącej prym na świecie.

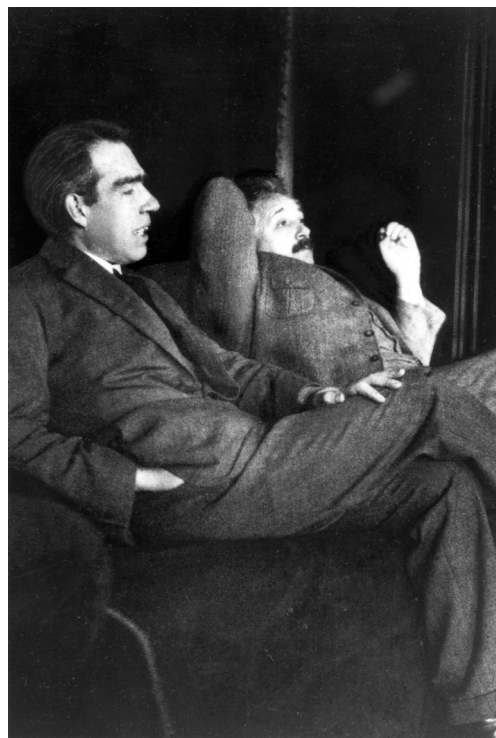
Ten przełom w rozwoju matematyki obrazuje ogólną prawidłowość. Nasza kultura, którą uważamy za zdobycz i dowód na rozwój naszej cywilizacji, ma też funkcję ograniczającą, niewolącą wręcz nasze umysły. Ogół naszych cech nabytych w określonych warunkach geograficzno-przyrodniczych i ogół naszych przekonań wyrosłych z filozofii, religii i nauki, którym z naturalnej potrzeby ulegamy, stwarza bariery poznawcze, których przekroczenie udaje się niewielkiemu, a zaakceptowanie nowych, popartych doświadczeniem teorii, zajmuje nam setki lat. Często też jest tak, że jedna kultura sprzyja nowym odkryciom, gdy inna kompletnie na to nie pozwala. Jak ten zachwycający i tak dzisiaj oczywisty sposób zapisu liczb wymyślony w Indiach. Gdyby wpadli na to Grecy, być może dzisiaj nie pocilibyśmy się tak przy pierwiastku z dwóch.

Grecka geometria najprawdopodobniej wyrosła z przekonania, że Ziemia jest płaska. Genialnie ułożona na świecie naukową teorię w *Elementach* Euklidesa obowiązuje w nauce szkolnej do dziś. U Euklidesa wszystko jest płaskie, jak na stole. Proste mogą się tam przeciąć lub nie, a jeśli nie przetną się na stole, nie przetną się nigdy. Wszystko jest idealne: punkt nie ma długości, prosta nie ma pola, najkrótsza trasa pomiędzy dwoma punktami biegnie po linii prostej. Wszystkie figury są idealne – zbudowane z prostociętnych odcinków trójkąty, czworokąty, pięciokąty... No i koło! Absolut harmonii. Nie ma mowy o krzywych, które opisują nieregularne kształty. Ma być prosto, jak po sznurku albo „krzywo” jak po okręgu. Istotne jest tylko to, co

na stole. Co tam się dalej dzieje, gdzieś het, w brrr! nieskończoności – o tym sza. Piękne jest to, co da się opisać liczbą naturalną: 1, 2, 3, 4,... 100, 200,... Cóż, z konieczności można się zgodzić na jakieś ułamki, ale takie przyjemne i oczywiście: $1/2$, $1/3$, $1/4$,... A już na pewno powinno się dać podwoić każdy kwadrat o całkowitej długości boku tak, żeby długość boku nowego kwadratu (o polu dwa razy większym) była równie piękną liczbą naturalną lub co najwyżej prostą ułamkową wielokrotnością.

Tym zagadnieniem zajmował się niejaki Teodoros, który był tak potwornie niezadowolony z wyniku, że efekt swojego myślowego eksperymentu określił jednym słowem *dynamis*: potęga, siła, nadprzyrodzona moc. Dokładnie tak samo Alfred Nobel nazwał swój wynalazek. Ale „wynalazek” Teodorosa nie rozsadzał skał – rozsadzał greckie myślenie, zmusił greckich matematyków do uznania, że nie wszystkie liczby są takie piękne, jak tego oczekiwali, że istnieją liczby niewymierne, które dzisiaj przedstawiamy za pomocą pierwiastków. Jednak, co innego objąć rozumem taką konstrukcję myślową, a co innego zaakceptować twór, który nie mieści się w wyobrażeniach, nie mieści się w kulturze. Jak to? Więc można skonstruować dwa odcinki, których za nic na świecie nie da się zmierzyć jedną miarką? Może istnieć liczba, która nie ma skończonej wartości? Nie, oczywiście, że nie... Na taki fakt zgody nie ma!

Zauważmy, jak silne są w nas te greckie uprzedzenia w nauce szkolnej. Jeśli rozwiązanie zadania dawało wynik całkowity, mieliśmy poczucie, że rozwiązaliśmy je dobrze. Gdy liczba nie wychodziła zbyt pięknie – skomplikowany ułamek lub pierwiastek, natychmiast rodziła się w nas wątpliwość, czy aby nie popełniliśmy błędu. Pierwiastek – obiekt skąd inąd dzisiaj zupełnie dla nauki oczywisty – nadal dla większości pozostaje „dynamitem”, który rozsada czaszkę biednego ucznia, wywołuje lęk, a przynajmniej szczerą niechęć. Podobnie jest z nieskończonością. Podobnie z geometrią nieeuklidesową, której nie naucza się w szkole. Widać nawet eksperci tworzący programy nauczania nie są w stanie wyjść poza starożytną Grecję. To akurat ciekawe, bo szkoła naucza o lotach w kosmos i budowie



Niels Bohra i Albert Einstein w domu Paula Ehrenfesta w Leiden (grudzień 1925)

atomu, milcząc zupełnie, że nauka mogła sięgnąć dalej albo – przeciwnie – zejść do samego sedna atomu, właśnie dzięki temu, że dwóch egzotycznych, jak na Europę, naukowców – Węgier Bolyai i Rosjanin Łobaczewski – pokazało, że nie żyjemy na stole Euklidesa, że najkrócej z A do B jest po krzywej itd.

Grecy zaszczepili nam potrzebę ideału, wręcz wszyli ją w nasze europejskie DNA. Tu Platon winny, ale jakoś ciągle nie mamy mu tego za złe. Grecy wszyli w nas także potrzebę pewności – jeśli coś wiem, to na pewno, ponad wszelką wątpliwość. Wprowadzili do naukowego rozumowania regułę wyłączonego środka: śnieg jest biały albo nie jest biały, liczba jest parzysta albo nie jest parzysta itd. Nie ma nic pomiędzy. Tę potrzebę naukowej pewności przejawiał nawet niezwykle światły umysł Alberta Einsteina. Kiedy w 1920 roku Niels Bohr ogłosił, że nie wiemy, gdzie jest elektron, możemy co najwyżej obliczyć

prawdopodobieństwo tego, że w danej chwili jest akurat w danym miejscu, Einstein wypowiedział swój słynny protest: „Bóg nie gra w kości”. Nie akceptował tego braku pewności przez następnych piętnaście lat, choć potwierdzały teorię liczne doświadczenia. Bohr, geniusz równie wielki, odpowiedział spokojnie: „Nie mów Bogu, co ma robić” i ostatecznie, choć długo to trwało, przekonał Alberta. Niels Bohr jest autorem jeszcze jednego stwierdzenia: „Nie, nie, ty nie myślisz, ty po prostu jesteś logiczny” – odpowiadał przeciwnikom mechaniki kwantowej, którzy stosowali jedynie formalne, matematyczne argumenty. Tu też przejawia się nasze niewolnicze przywiązanie do greckiej myśli naukowej: prawdą jest to, co da się logicznie wywieść ze znanych faktów. Jasne, dopóki fakty są rozpoznane. Gdybyśmy jednak operowali tylko na tym, co już wiemy, nie poszlibyśmy naprzód, ignorowalibyśmy spostrzeżenia, które nie przystają do naszych teorii, słowem: kręcilibyśmy się w kółko. Niels Bohr był prawdziwym rewolucjonistą, potrafił uwolnić swoją wyobraźnię od wpływów europejskiej kultury, która – choć naturalnie tego nie zauważamy – każe nam patrzeć na świat w bardzo określony sposób. Pchnął fizykę na nowe tory. To jego odwadze w głoszeniu prawd przyjętych początkowo za absurdalne zawdzięczmy całą dzisiejszą technologię.

Od „przewrotu” Fibonacciego nasza europejska kultura nadal szczęśliwie przechodzi od czasu do czasu jakieś przemiany. Szczęśliwie pojawiają się ludzie, którzy patrzą inaczej. Gdyby Marcin Luter nie przybił swoich 95 tez w kościele w Wittenberdze, być może Gutenberg nie wymyśliłby druku. Reformacja głosiła równość wszystkich ludzi i prawo każdego do bezpośredniego obcowania ze Słowem Bożym. Stąd konieczność masowego druku Biblii i powszechnej nauki czytania. To pobudziło Europę Zachodnią do rozwoju gospodarczego, choć przez pierwsze stulecia krwawo się broniła przed zmianami w myśleniu o religii i Kościele. Kto wtedy mógł przypuszczać, że wolny, piśmienny rzemieślnik i chłop będą pracować lepiej, wydajniej i bardziej twórczo? *Nota bene*, poważne badania dzisiaj wykazują, że protestanci są lepiej wykształceni od katolików, mają wyższą etykę życia i pracy, co przekłada się na ich większą zamożność.

Każda rewolucyjna myśl, zanim rzeczywiście zmieni kulturę, musi przejść kilkusetletnią karancję. Ale gdy już zmieni, to osiada w nas tak silnie, że uodporniamy się na kolejną. Dzisiaj każde dziecko wie, że wbrew temu, co widzimy, to Ziemia krąży wokół Słońca, a nie na odwrót. Nawet nie umiem sobie wyobrazić wstrząsu, jaki przeżyli współcześni, gdy Kopernik to ogłosił. I miał na to tylko dowody rozumowe, dostępne naprawdę nielicznym. Czy ktokolwiek dzisiaj poddaje tę myśl w wątpliwość? Oczywiście, że nie. Mieliśmy prawie 500 lat na przetrwanie tego faktu, a obecnie możemy to nawet zobaczyć dzięki wystrzeliwanym w kosmos urządzeniom. Wszyscy też nie mamy już wątpliwości, że Ziemia nie jest płaska, tyle razy zobaczyliśmy jej obraz z satelity. Dowody i lata kształcenia pokonały w nas sprzeciw wobec nauki, która zaprzecza temu, co na co dzień z naszej osobistej perspektywy obserwujemy. Ba, nawet przyzwyczailiśmy się do jej twierdzeń, które nijak się mają do naszej intuicji albo wpajanych przez tysiące lat mitów.

Nasza kultura jest dzisiaj dualna – ciągle wyznaczamy religię (tę czy inną) z jej Genesis, a jednocześnie ufamy naukowcom równie silnie, choć często ich twierdzenia przeczą podstawom wiary i przekraczają możliwości naszej wyobraźni. Stephen Hawking, organizując kiedyś w Watykanie konferencję fizyków, negocjował z papieżem (JPII), ile pierwszych sekund Wielkiego Wybuchu zostawić dla Stwórcy. Twierdzenia nauki przekraczają też czasem możliwości wyobraźni samych naukowców. O prawach mechaniki kwantowej Bohra sami fizycy – w końcu jedyni znawcy tematu – jeszcze dzisiaj mówią z uśmiechem, z pewnym odruchowym niedowierzaniem, jak zapewne starożytni Grecy opowiadali sobie o tych niewspółmiernych odcinkach: bok kwadratu i jego przekątna. Bo wyobraźcie (!) sobie Państwo, że elektron przechodzi przez dwie szczeliny na raz. Nie jak piłka do ping-ponga, która trafi w otwór lub nie, ale jak fala oceanu. A przecież jest materią. Wyobraźcie sobie, że atom w większości składa się z... przestrzeni i gdyby w Empire State Building oddzielić materię od tej przestrzeni, to zostałoby ziarno ryżu. A elektron (!) skacze po orbitach atomu bez stanów pośrednich. Jestem w domu – jestem w pracy. Pstryk. Nie było mnie w pokaesie...

Być może to jeszcze za młoda teoria. Ma przecież dopiero sto lat. Podobnie jak teoria względności i jej czasoprzestrzeń. Swoją drogą, ciekawe, ile wieków upłynie zanim przyjmijemy to za pewnik. Które następne pokolenie będzie się z nas śmiać, że nie umieliśmy tego pojąć? Przypuszczam też, że w końcu zniknie dualizm naszego patrzenia na świat, że duchowość pogodzi się z „mędrca szkiełkiem i okiem” i razem stworzą nową jakość. Nie wiem jaka rewolucja to zmieni, aż boję się myśleć o tym kolejnym *dynamis*. Wydaje mi się jednak, że rośnie przeczcucie takiej potrzeby i że jeśli to nie nastąpi, nasza kultura wyczerpie swoje baterie na jałowym biegu.

Nauka będzie się rozwijać. Tu też mamy za sobą poważne przemiany kulturowe – ukształtowanie się umysłu naukowego, jak to nazwał francuski filozof Gaston Bachelard, i globalną komunikację ułatwiającą wymianę myśli wręcz on-line. Nauce jałowy bieg na razie nie grozi, choć jej zdobycze są coraz bardziej abstrakcyjne, coraz trudniejsze do zasymilowania przez tak zwanego normalnego człowieka.

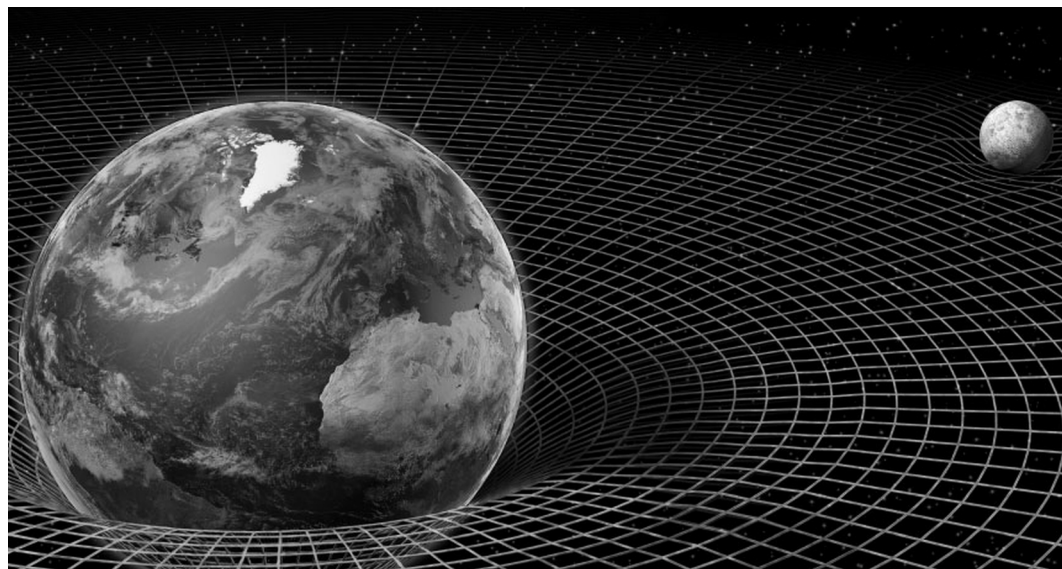
Rośnie bariera, nawet już – powiedziałabym – instytucjonalna. Szkoła zamiast wprowadzać nowe treści, ogranicza dotychczas obowiązujące. Ciekawy jest też np. fakt, że nie ma polskiego

wydania pierwszej na świecie pracy o teorii strun czy o teorii fraktali. Jakby sami wydawcy uznali, że to już za dużo, za daleko w naukowy rozum.

Jest to poniekąd po naszej myśli. Przyzwyczajeni do PEWNOŚCI, nie tolerujemy jej braku, nie umiemy – ba! nie próbujemy nawet – przyswoić nowych odpowiedzi na pytania o kształt wszystkiego, co nas otacza. Nie przekonuje nas Albert Einstein ze swoją perspektywą kosmosu, ani Niels Bohr, który chce, byśmy uwierzyli, że w atomie „wszystko jest inaczej”. Nasza wyobraźnia za nimi nie nadąży, a skoro tak, wciąż wolimy udawać Greka.

Katarzyna GWINCIŃSKA

Ziemia zakrzywia czasoprzestrzeń. Księżyc toczy się po tym zakrzywieniu – grawitacja w ujęciu Alberta Einsteina



Towarzystwo Miłośników Ziemi Śremskiej



W Ruchu Stowarzyszeń RP

TMZŚ jest organizacją, która w 2017 r. obchodzić będzie 130-lecie istnienia. Jako organizacja od wielu lat jest członkiem Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego w Poznaniu, a od 3 lat należy również do Ruchu Stowarzyszeń Regionalnych RP w Warszawie.

Działalność naszego Towarzystwa skupia się na tematyce regionalno-patriotycznej, kulturalno-edukacyjnej i ekologicznej. Realizowane jest m.in. hasło „Uczymy trudnej sztuki niezapominania” czy „Miastu-Regionowi-Sobie”. Wieloletnią działalność Towarzystwa na polu kulturalnym doceniło WTK przyznając TMZŚ w 2013 r. Nagrodę Główną WTK – dyplom i statuetkę „Wielkopolskiego Pegaza”. Celem Nagrody Główny Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego jest promowanie osób i instytucji zasłużonych dla kultury Wielkopolski. Przyznawane przez WTK wyróżnienia „mają charakter honorowy i kierują uwagę opinii publicznej na osoby przyczyniające się do kreowania wizerunku Wielkopolski jako regionu kultury oraz łączące sprawne działanie z bezinteresownością”.

TMZŚ aktywnie uczestniczy w działalności na rzecz regionalizmu. W ubiegłym roku delegacje (Jerzy Naskręt, Jan Gurdek, Elżbieta Kubera) uczestniczyły w spotkaniu w Szreniawie na temat ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego, a także w dwudniowych warsztatach w Zakopanem nt. sposobów praktykowania ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego wg konwencji UNESCO z 2003 r.

W 2014 r. prezes Jerzy Naskręt uczestniczył w X Jubileuszowym ogólnopolskim Kongresie Re-

gionalnych Towarzystw Kultury w Bydgoszczy, gdzie głównym hasłem był „Regionalizm polski – 25 lat po transformacji”. Po zakończeniu obrad Kongresu odbyło się IV Walne Zgromadzenie Zwyczajne Delegatów Ruchu Stowarzyszeń Regionalnych Rzeczypospolitej Polskiej. W czasie obrad podsumowano pracę Rady Krajowej RP za okres 4 lat, wybrano nowe władze i podjęto uchwały. Sekretarzem Komisji Rewizyjnej Rady Krajowej RSRRP na okres kadencji 2014-2018 został Jerzy Naskręt.

Czerwiec 2016 r. był miesiącem, w którym odbyły się 2 ważne konferencje. W dniach 3-4 delegacja TMZŚ (J. Naskręt, E. Kubera, W. Grobelna) wraz z innymi delegatami regionalnych stowarzyszeń kulturalnych z całej Wielkopolski uczestniczyła w XXI Wielkopolskiej Konferencji Kulturalnej w Dobrzycy, na której podsumowano działalność Wielkopolskiego Towarzystwa Kulturalnego w latach 2013-2016, przeprowadzono dyskusję panelową „Tu zaczyna się Polska”, zwiedzono Muzeum Ziemiaństwa w Dobrzycy, wybrano nowe władze. W skład Sądu Koleżeńskiego powołano Jerzego Naskręta.

Najaktywniejsi przedstawiciele stowarzyszeń regionalnych z całego kraju zostali zaproszeni do Wrocławia na II Ogólnopolski Zjazd Regionalistów Polskich nad Odrą (16-19 VI) pod hasłem „Kresowość jako składnik tożsamości Dolnoślązaków”. Uczestnicy zapoznali się z dorobkiem lokalnych towarzystw regionalnych i współpracą samorządów z ruchem regionalistycznym, dyskutowano o pamięci historycznej i kultywowaniu wielokulturowego dziedzictwa Dolnego Śląska. Zwiedzono Wrocław, Świdnicę, Krzeszów, Zamek Książ, Dzierżoniów, Jawor i Legnicę.

W zjeździe uczestniczył prezes Jerzy Naskręt jako członek Komisji Rewizyjnej Rady Krajowej Ruchu Stowarzyszeń Regionalnych RP.

Ostatnio, jako przedstawiciel Krajowej Rady Ruchu Stowarzyszeń Regionalnych RP, Jerzy Naskręt uczestniczył w Pierwszym Forum Ekspertkim Chiny – Europa Środkowa i Wschodnia nt. ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego, które miało miejsce w dniach 12-14 października 2016 r. w Krakowie. Było to pierwsze tego typu spotkanie międzynarodowe, zapropomowane przez Chiny, zorganizowane przez polskie Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, gromadzące specjalistów z 17 krajów, poświęcone wymianie doświadczeń, budowaniu kompetencji i wypracowaniu modelu współpracy pomiędzy krajami Europy Środkowej i Wschodniej oraz Chinami w dziedzinie ochrony niematerialnego dziedzictwa kulturowego. Forum towarzyszyła uroczysta Gala, podczas której wręczono decyzje Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego o wpisie 12 nowych elementów na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego.

Ruch Stowarzyszeń Regionalnych Rzeczypospolitej Polskiej, do którego należymy od 2014 r., to ogólnopolski związek stowarzyszeń, działający od 2002 r. Kontynuuje idee byłej Rady Krajowej Regionalnych Towarzystw Kultury (powstała w 1981, jako niezależna reprezentacja regionalnych stowarzyszeń kultury w Polsce). Na czele Ruchu Stowarzyszeń Regionalnych RP stoi Rada Krajowa, wybierana przez Walne Zgromadzenie Delegatów na kadencję 4 lat. Główne cele Ruchu: rozwijanie idei regionalizmu w ścisłym powiązaniu z kształtowaniem i utrwalaniem tożsamo-

ści narodowej, wspomaganie działalności stowarzyszeń regionalnych oraz zwiększanie ich roli w kreowaniu życia społecznego, szerzenie idei służby społecznej na rzecz ochrony dziedzictwa narodowego. Ruch realizuje swoje cele poprzez: organizowanie Kongresów Stowarzyszeń Regionalnych oraz innych imprez; prowadzenie działalności badawczej, wydawniczej i szkoleniowej; prowadzenie własnych instytucji; współdziałanie z instytucjami kulturalnymi, naukowymi, oświatowymi, wyznaniowymi, administracją państwową, samorządami terytorialnymi, innymi organizacjami pozarządowymi.

Wiesława GROBELNA

KWESTIONARIUSZ KULTURY

Od trzech lat w tym miejscu spotykamy się z różnymi osobami, czytając ich odpowiedzi na 30 wzorowanych na Kwestionariuszu Prousta pytań. Na modyfikowane i zmieniane pytania od ponad stu lat odpowiadają ludzie na całym świecie. Ich odpowiedzi bawią, zadziwiają, zaskakują, dając przy okazji interesujący obraz czasów, w których żyli.

Trzy lata – 18 zaproszonych, subiektywnie przeze mnie wybranych osób – znanych i mniej znanych, ale związanych z naszym miastem. Są wśród nich lekarze, naukowcy, artyści-malarze, działacze społeczni, fotograficy, architekt, poetka, właścicielka księgarni..., pasjonaci – ludzie ciekawi świata i życia, realizujący marzenia swoje i innych. Nikt nie odmówił, chociaż niektórych namawiałam długo.

Urszula Łukomska, Mariusz Kondziela, Barbara Nowicka, Tomek Mazurczak, Natalia Lissek, Barbara Siwińska, Bohdan Kaczmarek, Katarzyna Gwincińska, Nina Szmyt, Zbigniew Kwias, Wojciech Majchrzak, Tadeusz Maliński, Barbara Jahns, Danuta Płygawko, Grzegorz Pawlak, Szymon Majewski, Dariusz Żabiński, Ryszard Zawadzki – wszyscy oni zgodzili się wziąć udział w zabawie, odsłaniając na króciutki moment swoją prywatność.

Każdą z osób, które wzięły udział w zabawie, sportretowała poznańska malarka Urszula Brylewska-Łukomska, od ponad 20 lat związana ze Śremem. Powstała w ten sposób interesująca galeria ołówkowych portretów, które być może doczekają się kiedyś prezentacji. Na razie czekają.

Zabawę będziemy kontynuować. Osób, które chciałabym poprosić o udział w zabawie, nie



Urszula Łukomska *Autoportret*

brakuje. Ale myślę też, że i czytelnicy „Gazety Śremskiej” mają swoje propozycje – chętnie je poznamy i spróbujemy zrealizować...

Przed nami kolejny rok z KWESTIONARIUSZEM KULTURY. Spotykamy się w marcu!

Ewa NOWAK



Ewa Nowak kreską Urszuli Łukomskiej

Oto Afryka, czyli inne przygody Mikołajka

Z górnej półki

Bez mała trzydzieści lat temu Akademia Goncourtów oraz najbardziej popularna sieciowa księgarnia francuska Fnac (taki francuski Empik, przed upadkiem) zainicjowały nową nagrodę, przyznaną co roku w wyniku plebiscytu przeprowadzanego wśród dwóch tysięcy licealistów. Goncourt des Lycéens miał jednocześnie nagradzać pisarzy zdolnych przemówić do młodego pokolenia, jak i popularyzować czytelnictwo we Francji.

W roku 2016 nagroda ta została przyznana nowicjuszwowi w dziedzinie literatury – Gaëlowi Faye, lat 35. Autor jest pochodzącym z Burundi muzykiem, twórcą hip-hopu. Słuchając jego wyrazistych, rytmicznych tekstów, nigdy nie nazwalibyście go „piosenkarzem”. To raczej poeta, pieśniarz. Tekst jest w jego utworach dużo ważniejszy niż rytm, bo w przypadku hip-hopu trudno chyba mówić o muzyce. Niezwykle poruszyło mnie to, co usłyszałam w wykonaniu Gaëla – jego utwory są bardzo aktualne. Nie mówi w nich wprost o wydarzeniach naszych czasów, ale śpiewa o sobie, metysie, człowieku „pochodzenia mieszanego”, który nigdzie nie jest u siebie. W naturze dwie rzeki łączą się, tworzą wspólny nurt, stają się jedną wielką rzeką – śpiewa z bólem Gaël – w naszym zaś życiu pochodzenie i kolor skóry determinują wszystko, „jestem metysem, ergo obcym, i pozostanę czarny dla białych i biały dla czarnych” do końca swoich dni...

Tak jak ci właściciele budek z kebabem we Wrocławiu czy Elku, narażeni na opluwanie z powodu ich innej, „nie naszej” tożsamości, nigdy nie będą pełnoprawnymi członkami polskiego społeczeństwa, polskiego nurtu, a mimo to – z per-

spektywy swoich rodaków – tracą swoją pierwotną tożsamość, mieszkając w kraju „non halall”. Koło się zamyka.

Czy książka Gaëla Faye nadaje się do rubryki „Z górnej półki”? Zdecydowanie tak. To niewielkie, świetne, momentami niezwykle lirycznie napisane opowiadanie, będące w zamyśle nostalgicznym powrotem do utraconego raju, wspomnieniem radosnych dziecięcych chwil, przypomina atmosferą opowiadania o Mikołajku i jego przyjaciółach. Tylko miejsce jest inne – nie „słodka Francja”, ale nieprzewidywalna, piękna i straszna zarazem, Afryka. W miarę lektury, książka staje się wstrząsającym świadectwem narodzin nienawiści. Pokazuje, że różnice pomiędzy ludźmi, pozornie niewielkie, w ostateczności prowadzą do okrutnych pogromów, takich, jak rzeź Tutsi przez Hutu w 1993 roku.

Afryka... no tak – mógłby powiedzieć ktoś, – to wszystko tłumaczy... T.I.A., tak z rezygnacją i ironią, powtarzał bohater *Krwawego diamentu* ustami Leonardo di Caprio – T.I.A. czyli This Is Afrika – oto Afryka, taka jest właśnie Afryka i nic tu nie zrozumiesz, nic tu nie poradzisz. Echo tego sposobu myślenia przewija się przez całą książkę.

Bohater, jak sam autor zresztą, pochodzi z Burundi, niewielkiego państwa położonego w centrum kontynentu, na granicy ze Rwandą. Rzecz dzieje się we wczesnych latach dziewięćdziesiątych w Bużumburii, stolicy kraju. W prestiżowej części miasta, tej dla lepszych obywateli, ambasadatorów, dyplomatów, ale też białych przedsiębiorców z Europy, którzy związali swoje życie z Afryką, także żeniąc się z miejscowymi kobie-

tami, mieszkają obok siebie dzieci z tych różnorodnych związków. Chłopcy po szkole bawią się razem, grają w piłkę, pływają w jeziorze Tanganyika, wygłupiają się, kradnąc ciężkie sokiem owoce mango z okolicznych ogrodów, biegają na bosaka, usmarowani, jak prawdziwe stworzenia boskie, szczęśliwi wolnością i bez troską lat dziecięcych. Każdy z nich jest nieco inny – różnią się kolorem skóry i pochodzeniem. Nie przeszkadza im to w przyjaźni. Na pierwszy rzut oka, tak samo jest z pozostałymi mieszkańcami dzielnicy. W jedenaste urodziny Gabriela, głównego protagonisty i narratora, syna francuskiego przedsiębiorcy i pięknej rwandyjskiej imigrantki, cała ulica bawi się na podwórku domu Gabiego. Piją, gadają i tańczą do euro-afrykańskich rytmów, w świetle gwiazd i kolorowych lampionów, coraz cięższym upale, który przeradza się w końcu w wielką, oczyszczającą tropikalną ulewę. Deszcz zresztą nie zakłóca zabawy, obmywając tylko z potu i zmęczenia gości, dzieci, dorosłych, przypadkową zbieraninę ludzi z różnych zakątków świata, zrządzeniem losu zebranych tu właśnie, na tym afrykańskim podwórku, które stało teraz się ich wspólnym domem. Dopiero nadciągające jak ciemna, burzowa chmura, powoli, ale nieuchronnie, wydarzenia w sąsiedniej Rwandzie, zmieniają nagle ten stan rzeczy.

Matka chłopca jest Rwandyjką, *de facto* imigrantką w Burundi. Uciekła z ojczystego kraju przed powtarzającymi się co jakiś czas zamieszkami na tle etnicznym. Jej rodzina to Tutsi. Większość etniczna w Rwandzie to jednak Hutu. Czym się różnią? Pozwólcie Państwu, że przytoczę druzgoczący w swojej prostocie dialog z początku książki, pomiędzy ojcem Francuzem a dziećmi, Gabrielem i jego siostrą Aną.

- *Czy wojna pomiędzy Tutsi i Hutu bierze się z tego, że mieszkają w różnych państwach?*
- *Nie, nie, oni są z tego samego kraju.*
- *A więc pewnie mówią innym językiem?*
- *Nie, mówią tak samo.*
- *Może nie mają tego samego boga?*
- *Wręcz przeciwnie, mają.*
- *Więc dlaczego walczą ze sobą?*
- *Ponieważ mają różne nosy.*

Jeśli zajrzycie Państwo do Wikipedii, dowiecie się, że rzeczywiście Hutu i Tutsi różnią się nieco

wyglądem. Tutsi mają dłuższe szyje i ostrzejsze rysy twarzy, są też wyżsi. W przeszłości zajmowali się głównie hodowlą. Hutu natomiast, mają rysy twarzy bardziej zaokrąglone, są niżsi i bardziej krępi, tradycyjnie, kiedyś, byli rolnikami. Podobno Belgowie, którzy za czasów kolonialnych rządili tą częścią Afryki, ze względu na cechy zewnętrzne, uprzywilejowali ludzi z ostrymi rysami, przypominającymi bardziej zachodnio-europejskie twarze. A zatem faworyzowali Tutsi. I to wystarczyło, by stworzyć podziały, a nawet grupy etniczne, których wcześniej nie było. Być może bez kolonialnej interwencji Europejczyków szczupli Rwandyjczycy (prawdopodobnie pochodzący z Etiopii), zmieszaliby się krępymi tubylcami i utworzyli razem rwącą rączę wielką rzekę Rwandę. Niestety, tak się nie stało.

Z powodu innych nosów i niewłaściwej budowy czaszki (na pewno coś to Państwu przypomina), doszło w centrum Afryki do okrutnego ludobójstwa, po którym ci, co przetrwali całowali ślady stóp ludzkich. My w Europie przyglądaliśmy się temu, wertując gazetę przy porannej kawie.

Nie o obojętności białych ludzi jest jednak książka Gaëla Faye, lecz o dzieciństwie i jego utracie, o niczym nie zmałowanej przyjaźni i irracjonalnej, rodzącej się ni stąd ni z owąd nienawiści na oświeconym gwiazdami i lampionami wspólnym podwórku.

J. A.

Petit Pays, Gaël Faye, Wyd. Bernard Grasset

NASZTALENT

Przez trzy lata, w tym miejscu prezentowałam Państwu utalentowane młode osoby pochodzące ze Śremu.

Wiem dobrze, że talentów w Śremie nie brakuje – dokonałam więc subiektywnego wyboru przedstawiając 18 niezwykle osób. Niezwykłych, bo mających marzenia – odważne marzenia i nie bojących się je realizować. To naprawdę ważne – umieć podążać za marzeniami, mieć odwagę je spełniać. I oni właśnie to zrobili lub robią. I osiągają sukcesy! I to jakie! A przecież wielu z nich znajduje się dopiero na początku drogi...

Przypomnijmy całą osiemnastkę: Wiktoria Bukowy, Katarzyna Jankowiak, Julia Rybakowska, Agata Jankowiak, Olga Rudnicka, Ariel Szubert, Roxana Tutaj, Piotr Trojanek, Adrian Bartnik, Zuzanna Buchwald, Romana Filipowska, Marcin Helak, Natalia Tomczak, Joanna Genderka, Hubert Błaszczuk, Olga Garstka, Damian Rojek, Michał Bukowy.

Przez te trzy lata wiele się u nich zmieniło – niektórzy nie mieszkają już w Śremie (Wiktoria, Kasia, Agata, Julia, Zuzanna, Romana, Marcin, Natalia, Michał), ale chętnie wracają, część skończyła już studia (Wiktoria, Agata, Kasia, Natalia, Michał), Hubert i Joanna jeszcze studiują, Olga jest uczennicą śremskiego LO.

W międzyczasie Olga Rudnicka napisała dwie książki, a Julii urodziła się córeczka. Agata przestała być wokalistką Zakrętu (który zresztą przestał istnieć) i razem z siostrą Kasią założyła bloga o biżuterii – PicaPica – który po roku przekształcił się w profesjonalną stronę internetową prezentującą biżuterię.

Adrian zrealizował kolejne marzenie i pojechał szukać inspiracji do Nowego Jorku. Wiktoria i Michał wyjechali do Edynburga, a Zuzanna przestała być czynną modelką i zaangażowała się w społeczne akcje przeciwko promowaniu nadmiernie szczupłych modelek, pracuje w Galerii Sztuki. Marcin nadal studiuje i ma nowe plany wyprawowe. Roxana ciągle jeszcze poszukuje – śpiewa z różnymi zespołami, próbuje stworzyć własny repertuar...

Myślę, że jeszcze nie raz o nich usłyszymy! Bo oni wciąż jeszcze mają marzenia!

To tylko małe podsumowanie trzech lat, ale nie koniec prezentowania śremskich młodych talentów. Kolejny „Nasz Talent” już w marcu.

Ewa NOWAK

Dzika planeta

Kino niewidzialne, czyli Notatki o filmach...
mało znanych, zapomnianych, trudno dostępnych, egzotycznych, nietuzinkowych,
a przede wszystkim o filmach wartych obejrzenia

Młoda, półnaga kobieta z dzieckiem na ręku z wyraźnym przerażeniem biegnie przez coś na kształt lasu. Ewidentnie przed czymś ucieka, oglądając się za siebie. Dociera do wzniesienia, na które chce się dostać, lecz na jej drodze pojawia się... dłoń. Ogromna, niebieska dłoń, która lekkim ruchem, jakby od niechcenia, przewraca dziewczynę. Ta wstaje i z uporem próbuje przejść, jednak jej próby kończą się klęską. Potężna kończy pstryknięciem palców odrzuca w tył małą postać tulącą dziecko.

Ten dramatyczny wstęp obrazuje wzajemne relacje między mieszkańcami planety Ygam: do-

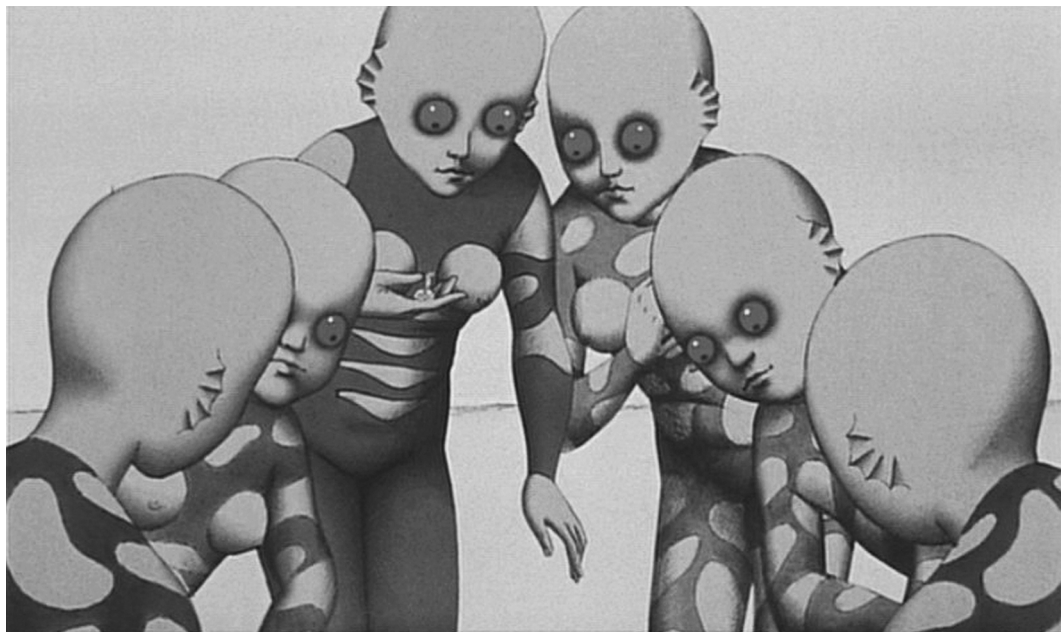
minującą, rozwiniętą rasę potężnych Draagów i ograniczonych do roli żywych zabawek małych Omów (z fr. l'homme – człowiek). Ludzie są niedobitkami, które co jakiś czas się eksterminuje, by nie mnożyły się zbyt szybko. Niebieskie istoty nie widzą w małych stworzeniach ani pożytku, ani zagrożenia – często są jednak obecne w domach Draagów w charakterze maskotki. Taki los spotyka osierocone dziecko, którego matka ginie podczas „zabawy”. Samotnego Oma znajduje Tiwa, draagańska nastolatka. Przejęta losem stworzenia wyprasza u ojca, premiera społeczności Draagów, pozwolenie na przysparzenie małej istoty.



Tym sposobem ludzkie dziecko, ochrzczone imieniem Terr, staje się ulubioną maskotką dziewczynki. Z niewolony człowiek poznaje świat z perspektywy niewolnika poddanego kaprysom wyższej rasy. Codziennie jest przenoszony, ustawiany, przebierany i zmuszany do robienia akrobacji, a noszona obroża nie pozwala mu się sprzeciwić. Tiwa, jak na nastolatkę z dobrego domu, dużo się uczy – a robi to dzięki słuchawkom transmitującym dźwięki i obrazy wprost do jej mózgu. Okazuje się, że Terr także jest wrażliwy na te sygnały i postanawia uczyć się razem z dziewczynką. W ten sposób zaczyna rozumieć język i alfabet Draagów, poznaje ich obyczaje (np. regularną medytację, która pozwala niebieskim istotom podróżować w ciele astralnym). Z czasem Tiwa dorasta i znajduje sobie inne zajęcia, zarzucając zabawki i edukację. Porzucony Om postanawia uciec ze swojej niewoli, zabiera jednak ze sobą pomoc naukową swojej pani, by dowiedzieć się więcej. Choć Terrowi udaje się zbiec, nie bardzo wie, gdzie się podziąć, w dodatku taszczy ze sobą ogromne, ciężkie słuchawki. Błądząc po obcym terenie, trafia do opuszczonego parku, który zamieszkuje plemię Dzikich Omów. Jego pobratymcy okazują się

zbieraniną nierozgarniętej, prymitywnej ciemnoty, a on sam budzi podejrzenia swoją wiedzą. Z czasem jednak Terr zdobywa posłuch i edukuje swoich współbraci, przez co i ich kultura się rozwija.

Dzika planeta nie jest lekkim filmem. Depresyjny, przytłaczający prolog i pierwsza połowa seansu to ponura wizja świata. Człowiek jest tu niepozornym, żalonym żyjątkiem, małą zabawką w rękę dużego dziecka. Reżyser płynnie przechodzi między wątkami, a stosunkowo krótka (72 minuty) animacja wypełniona jest informacjami. Leloux kreuje Omów na ludzki odpowiednik w świecie przedstawionym, lecz w relacji z egzotyczną rasą Draagów widz nie zawsze odnajduje się po stronie mniejszych i pokrzywdzonych. Człowiek ginie z ręki niebieskiego kosmity tak łatwo, jakby mucha została zabita przez człowieka. W sposób moralnie czysty i łatwy. Przecież to tylko mały szkodnik. Film Leloux pozwala na zgłębienie punktu widzenia zarówno oprawcy, jak i ofiary. Ponadto Terr jest postacią prometejską (skradzioną wyższym bytom wiedzę przekazuje współbraciom), a także kimś na wzór Spartakusa (po uwolnieniu prowadzi Dzikich



Omów do powstania przeciwko rasie panów). Nie są to jedyne elementy, które dają się odczytać w sposób symboliczny.

Wszystkie te sceny ogląda się z hipnotyczną wręcz uwagą. To zasługa egzotycznego wyglądu lokacji i stworzeń. Niebieskoskórzy Draagowie o wylupiastych, czerwonych oczach są jednocześnie niepokojący i intrygujący. Zarówno roślinność, jak i maszyneria obecna w filmie wyglądają i funkcjonują w sposób zagadkowy, nieoczywisty. Jak specyficzne połączenie magii i inżynierii. Całość ma nieco komiksowy sznyt, zresztą każdy kadr z tej produkcji wygląda świetnie (jest przecież ręcznie narysowaną przez Topora grafiką).

Na osobny akapit zasługują muzyka i udźwiękowanie *Dzikiej planety*. Francuski jazzman Alain Goraguer stworzył coś niesamowitego. Hipnotyczne, cyklicznie zapętlaające się melodie. Psychodeliczne brzmienia gitarowe i klawiszowe, wspierane syntezatorami tworzą kompozycje, które zapadają w pamięć na długo po seansie. Utwory Goraguera (współpracującego niegdyś np. z Gainsbourgiem) świetnie sprawdzają się jako samodzielny byt, stanowią trwający ponad godzinę nastrojowy album – ambientowy i niepokojący.

Dzika planeta to kinowy debiut René Laloux. Debiut niezwykle nie tylko ze względów formalnych i z powodu przekazu. Oryginalność tej produkcji musiała robić duże wrażenie w roku premiery (1973!). Ze względu na ponadczasowe tematy i niestarzejącą się formę, oddziałuje na widza także dziś. Jest to dzieło, które powstawało w ciekawych czasach. Wystarczy wspomnieć festiwal w Cannes, gdzie film otrzymał Nagrodę Specjalną. W 1973 roku w konkursie brały udział produkcje dziś uważane za klasykę w swoich nurtach – *Strach na wróble* Schatzberga, *Wielkie żarcie* Ferriego czy budzący kontrowersje Jodorowsky ze swoją *Świątą Górą*. Wówczas nagrodę jury otrzymał Wojciech Jerzy Has za *Sanatorium pod Klepsydrą*. Przy wymienionych filmach animacja o Draagach i Omach wypada wręcz niszowo. Jednak *Dzika planeta* to wizjonerstwo, świeżość, niesamowitość. Od premiery filmu szeroko pojęty gatunek science fiction niesamo-

wicie się rozwinął: powstały *Gwiezdne wojny*, seria o Obcym, Star Treki, Terminatory, Matrix etc. A i tak francusko-czechosłowacka animacja o niebieskich kosmitach pozostała, mimo upływu czasu, niesamowicie oryginalna i nowatorska a dzięki pięknemu wykonaniu i sile przekazu jest dziełem wybitnym, mądrym i wciąż dzisiaj aktualnym. A może zwłaszcza dzisiaj.

Polecam bardzo!

Joanna CHMIELEWSKA

Dzika Planeta

reżyseria: René Laloux, Roland Topor
scenariusz: René Laloux, Roland Topor na podstawie powieści Stafana Wul'a *Oms en série*
muzyka: Alain Goraguer
zdjęcia: Boris Baromykin, Lubomir Rejthar
produkcja: Francja, Czechosłowacja
data premiery: maj 1973 (świat)

Spotkanie pod Dziewicą

...i to Orleańska! A mówiąc poważnie: 5 listopada, grupa słuchaczy Studia Plastyki uczestniczyła w lekcji muzealnej w Pałacu Rogalińskim będącym filią Muzeum Narodowego w Poznaniu oraz zwiedziła galerię sztuki, jedną z najciekawszych w Polsce. Wydaje się, że Rogalin jest powszechnie znany Wielkopolanom, ale jego długotrwała rewitalizacja, która zakończyła się w ubiegłym roku pozwoliła spojrzeć na tę perełkę baroku i klasycyzmu na nowo.

Najważniejszą decyzją muzealników było przywrócenie pierwotnego stanu wnętrza, by pałac wyglądał jak za czasów właścicieli, hrabiów Raczyńskich. O historii rezydencji, jej mieszkańcach, ich zainteresowaniach i pasjach, problemach i radościach fantastycznie opowiedziała nam pani Danuta Horoszko, mówiąca pięknym językiem i przystępnie, kobieta urodna, świetnie ubrana i sympatyczna... Dawno już nie byłam pod wrażeniem doskonałego przygotowania merytorycznego pani przewodnik i tak miłego podejścia do zwiedzającej grupy..., a jestem częstym bywalcem muzealnych salonów i wystaw czasowych. Odczucie to podzielała cała grupa uczestników zajęć z rysunku i malarstwa Śremskiego Ośrodka Kultury, które od ponad 20 lat prowadzę. Oprowadzanie po galerii „wzięłam na siebie”, bo tu nie aż tak ważne dla nas były informacje o poszczególnych obrazach czy twórcach, lecz o trendach i stylach w malarstwie XIX i XX wieku. Uczestnicy wyjazdowych zajęć mieli za zadanie znaleźć sobie motyw czy fragment obrazu, który będzie pretekstem do namalowania własnej kompozycji w technice akrylowej lub olejnej. Szybko więc rozeszli się po wszystkich wnętrzach i fotografowali wybrane dzieła.

Finałem było nagłówkowe spotkanie pod Dziewicą Orleańską Jana Matejki czyli *Wjazdem Joanny d'Arc do Reims*. To największy obraz w zbiorach Raczyńskich i największy historyczny obraz mistrza (ponad 47 [pic], 484x973 cm) namalowany w 1886 r. Zakupił go jedenaście lat później Edward Aleksander Raczyński do założonej przez siebie galerii w Rogalinie. Niezwykłość tego dzieła leży zarówno w warstwie malarskiej jak i symbolicznej. Można je zaliczyć do cyklu namalowanego „ku pokrzepieniu serc”, miało bowiem ukryte przesłanie mówiące, że tak jak w średniowiecznej Francji opanowanej przez Anglików, tak i w porozbiorowej Polsce może dokonać się cud wyzwolenia. Główna scena przedstawia Joannę d'Arc, która po pokonaniu wojsk angielskich prowadzi orszak delfina do katedry w Reims, gdzie odbędzie się koronacja na króla Francji – Karola VII. Jak zawsze u Matejki, zachwyca nas wspaniałe oddanie szczegółów, różnicowanie materii futer, atlasów, jedwabiu czy połysk metalu zbroi i oręza. Mistrz pracował nad dziełem ponad dwa i pół roku. Można nie przepadać za realizmem historycznym, ale nie ma chyba osoby, która nie doceni talentu malarza i wymowy dzieła. W końcu to jedno z naszych narodowych skarbów, które przez wiele lat wyzwało uczucia patriotyczne, a i dziś wzrusza.

Ula ŁUKOMSKA
malarka

Grupa słuchaczy śremskiego Studia Plastyki podczas lekcji muzealnej w Muzeum Pałac w Rogalinie.
W tle obraz Jana Matejki *Wjazd Joanny d'Arc do Reims*



styczeń luty 2017


MUZEUM
Ś R E M S K I E

63-100 Śrem
ul. A. Mickiewicza 89
tel/fax: 61 2835938
www.muzeum.srem.pl
e-mail: muzeum@srem.pl



Muzeum Śremskie
w Śremie
zaprasza
na wspólne śpiewanie kołęd
w Muzeum
14 stycznia (sobota) 2017
godz. 16.00



z magazynu...

MUZEUM ŚREMSKIE

TEATR DRAMATYCZNY



PLAKAT
BALET
OPERA
TEATR

WYSTAWA CZYNNA OD 1 DO 28 LUTEGO

W GODZINACH OTWARCIA MUZEUM ŚREMSKIEGO. UL. A. MICKIEWICZA 89, TEL. 61 28 35 938

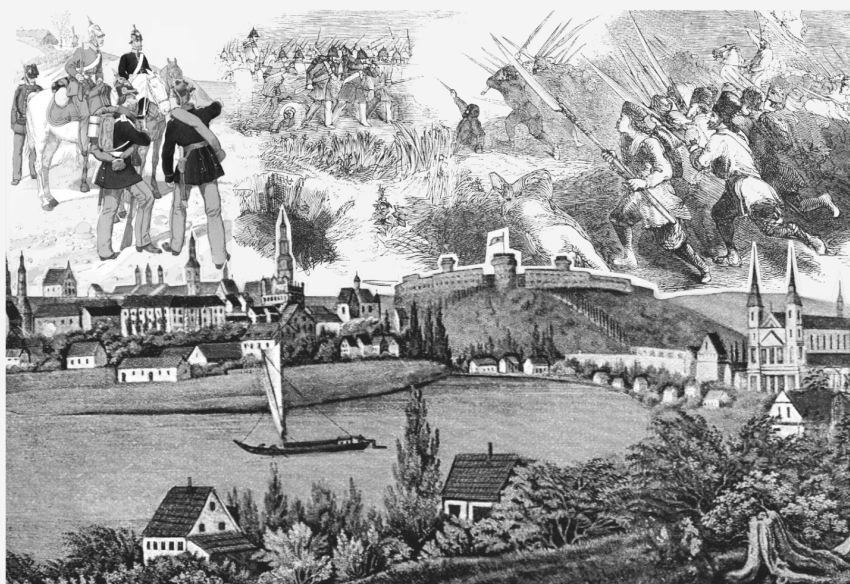


zapraszają na spotkanie z lokalną historią



1848

Multimedialna opowieść o powstaniu poznańskim podczas europejskiej Wiosny Ludów



Prowadzenie: Katarzyna Gwincińska i Bohdan Kaczmarek

Zgłoszenie udziału grupy – Muzeum Śremskie, tel. 61 28 35 938

FERIE ZIMOWE

'2017

TYDZIEŃ I - 30.01-03.02
Półkolonie w ŚOK 7:30-16:30



1. Robotyka z Minecraftem (10 miejsc)

Minecraft - na dźwięk tego słowa w oczach dzieci pojawia się błysk radości. Na zajęciach z Minecrafta dzieci poznają tajniki bloczkowego świata i wykonają różne misje wymagające logicznego myślenia i niejednokrotnie kreatywności. Jednak my przeniesiemy również Minecrafta do świata rzeczywistego budując i programując roboty transportujące surowce, atakujące Creeperów czy budujące schronienie.

2. Mistrzowie efektów specjalnych (20 miejsc)

Zajęcia te są idealnym połączeniem rozwijania umiejętności konstruktorskich dziecka z pasją tworzenia niewiarygodnych historii. Przez pięć dni uczestnicy stworzą swoją własną, niepowtarzalną historię, którą przeniosą na karty komiksu. Każdego dnia powstawać będą kolejne kadry naszej opowieści z wykorzystaniem klocków LEGO, własnoręcznie tworzonych dekoracji i elementów scenografii wykonanych za pomocą ręcznych drukarek 3D. Na koniec zajęć każdy z uczestników wydrukuje swój pierwszy komiks.

Uczestnicy pracują w grupach 2-3 osobowych. Podczas realizowania tematów związanych z grą w Minecrafta uczestnicy pracują indywidualnie. Zgłoszenia/informacje pod nr tel. 605-148-626 lub pod adresem e-mail: srem@twojrobot.pl

TYDZIEŃ II - 06-10.02

- Zimowe ekspresje naukowe (10-12 lat)

zajęcia prowadzi mgr Grzegorz Pierzchański
 w godz. 10-12 - 5 dni



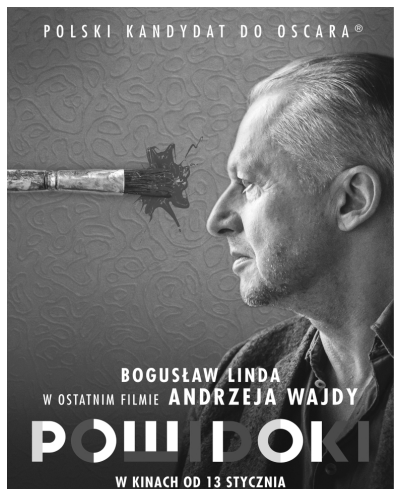
- Warsztaty szycia Martynki (9 lat i więcej)

zajęcia prowadzi mgr Martyna Cwojdzńska
 w godz. 12-14 - 5 dni

Ograniczona ilość miejsc w grupach, zapisy w ŚOK lub pod nr tel.: 61 28 35 904.



POLSKI KANDYDAT DO OSCARA®



BOGUSŁAW LINDA
W OSTATNIM FILMIE ANDRZEJA WAJDY

POIII DOKI

W KINACH OD 13 STYCZNIA

KINO KLIMATYZOWANE

13.01. godz. 21:15
14.01. godz. 20:00 Bilety²⁴
15.01. godz. 20:30
16.01. godz. 16:00, 20:30
17.01. godz. 16:00, 20:30
20.01. godz. 16:00, 20:30
21.01. godz. 16:00, 20:30
22.01. godz. 16:00, 20:30
23.01. godz. 20:30
24.01. godz. 17:15

www.kinoteatrslonko.pl

TWÓRCY FILMÓW „BOGOWIE” PRZEDSTAWIAJĄ



Sztuka Kochania

HISTORIA MICHALINY WIŚŁOCKIEJ

PREMIERA!

27 STYCZNIA

www.kinoteatrslonko.pl

NAJWIĘKSZA LEGENDA POLSKIEGO ROCKA POWRACA
W KINACH OD WRZESNIA 2016



**JAROCIN,
PO CO WOLNOŚĆ**

Tylko w w kinach studyjnych

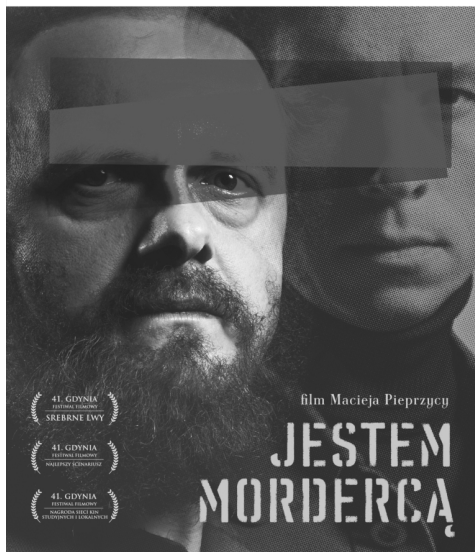
JAROCIN, PO CO WOLNOŚĆ (dokumentalny film) MAREK GAJCZAK, LESZEK GNOŃSKI
reżyser: MAREK GAJCZAK, WOJTEK SŁOTA, JERZY PAWLETA muzyka: MAREK GAJCZAK
MAREK GAJCZAK, WOJTEK SŁOTA, JERZY PAWLETA, LESZEK GNOŃSKI

KINO KLIMATYZOWANE

16.01. godz. 18:15
17.01. godz. 18:15 Bilety²⁴

www.kinoteatrslonko.pl

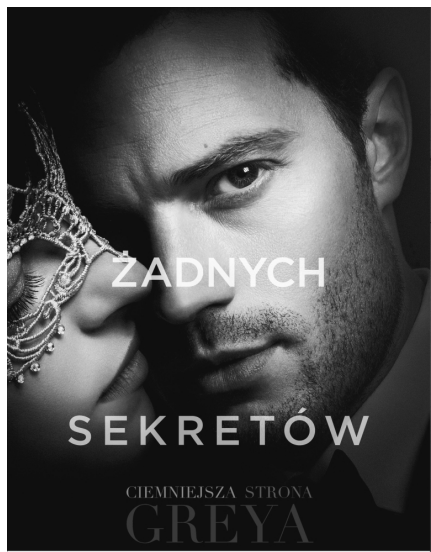
DYSKUSYJNY KLUB FILMOWY
24.01. godz. 19:30
www.kinoteatrslonko.pl



film Macieja Pieprzycy

JESTEM MORDERCĄ

41. GÓDNIĄ
SREBRNE ERY
41. GÓDNIĄ
41. GÓDNIĄ



**ZADNYCH
SEKRETÓW**

CIEMNIEJSZA STRONA
GREYA

KINO KLIMATYZOWANE

10-12.02. godz. 15:15, 17:45, 20:30
13.02. godz. 17:45, 20:30
14.02. godz. 15:15, 17:45, 20:30
17-20.02. godz. 17:45, 20:30
21.02. godz. 17:00
24-28.02. godz. 17:45

www.kinoteatrslonko.pl

FILM TWÓRCÓW HITU **MINIONKI**

ILLUMINATION
PRZEDSTAWIA



W wersji polskiej:

MARCIN DOROCIŃSKI • EWA FARNA
 MAŁGORZATA SOCHA • KATARZYNA SAWCZUK
 ADAM ZDRÓJKOWSKI
 KRZYSZTOF „JANKES” JANKOWSKI
 JAROSŁAW BOBEREK

ORAZ MAŁGORZATA WALEWSKA

WKRÓTCE W KINOTEATR SŁONKO



**Teresa
Werner**


**Śremski
ośrodek
kultury**

Koncert

KONCERT: 18 LUTY 2017 R

SPRZEDAŻ BILETÓW: **Śremski Ośrodek Kultury**
 ul. Adama Mickiewicza 77
 tel. +1 28 35 980
 Strona www.kinokapla.pl

ORGANIZATORZY:
 FILM GAAH Iw Rybicki
 Bilety w cenie 50 zł

HALA BAZAR
 ul. Stary Rynek 5
 ŚREM

ilość miejsc ograniczona! godz. 19:00

MAGICZNA PRZYGODA NA ŚWIĘTA

KRÓLOWA ŚNIEGU 3
OGIEŃ I LÓD



JUŻ WKRÓTCE

www.kinoteatrslonko.pl



Biblioteka

Publiczna im. H. Święcickiego
w Śremie

63-100 Śrem
ul. Grunwaldzka 10
tel: 61 2835467, fax: 61 2837774
www.biblioteka.srem.pl
e-mail: info@biblioteka.srem.pl



SPOTKANIA Z TEATREM I LITERATURA FERIE 2017

7.02 (wtorek) 11:00

Spotkanie z Mikołajkiem
(AGENCJA PIERROT)



8.02 (środa) 11:00

Jarzębinka
(TEATR LATARENKA)



9.02 (czwartek) 11:00

Baśnie skandynawskie
(KARAWANA OPowieści
Szymon Góralczyk)



10.02 (piątek) 11:00

Lalki w teatrze
(TEATR WARIATE)



UWAGA: wstęp na przedstawienia 5 zł.

Polecamy karnet na wszystkie przedstawienia za 15 zł
do nabycia w wypożyczalni dla dzieci



WIECZÓR WALENTYNKOWY
10 LUTEGO 2017, g. 18:15
Biblioteka Publiczna w Śremie, ul. Grunwaldzka 10

MIŁOŚĆ JEST BARDZIEJ

Urszula Żybura - poezja
Patrycja Kliber - śpiew
Łukasz Grzelak - gitara

WSTĘP: 15 zł (bufet kawowy gratis).
ZAPIS* wypożyczalni dla dorosłych

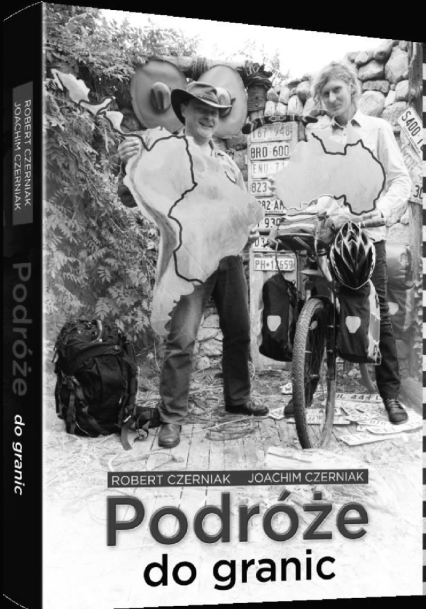
**KLUB ŁOWCÓW PRZYGÓD
ZAPRASZA**

DŻUNGLA, CHICHA I INDIANIE
Julia Mozgawa - spotkanie dla młodzieży
Krzysztof Czapla

14.02.2017, g.12:00

Biblioteka
Publiczna im. H. Święckiego
w Śremie

ul. Grunwaldzka 10 - sala audiowizualna



ROBERT CZERNIAK JOACHIM CZERNIAK

Podróże do granic

Uniwersytet
ludzi ciekawych swiat@

Biblioteka
Publiczna im. H. Święcickiego
w Śremie

15.02.2017
18:15 (dodatkowy wykład)

Podróże do granic
(Ameryka łacińska i Australia)

Wykładowcy:
Robert Czerniak
Joachim Czerniak

Biblioteka Publiczna w Śremie, ul. Grunwaldzka 10



NEW YORK
Prof. Richard Malicki
wykład dla młodzieży w języku angielskim

21.02.2017, g.12:45

Biblioteka
Publiczna im. H. Święcickiego
w Śremie

KLUB ŁOWCÓW PRZYGÓD
ZAPRASZA



KLUB ŁOWCÓW PRZYGÓD



Robert Gondek

Gabon, Sao Tome
góry, goryle,
szympansy,
mandryle

23.02.2017
g.18:15

 **Biblioteka**
Publiczna im. H. Świepockiego
w Śremitcu

 **Uniwersytet**
ludzi ciekawych świat@

www.szczytyafryki.pl



 **Biblioteka**
Publiczna im. H. Świepockiego
w Śremitcu

BIBLIOTECZNI TEATROMANI!
zapraszamy na spektakle wyjazdowe

4 lutego – KRÓLOWA ŚNIEGU
19 marca – MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ
31 marca – ABONAMENT NA SZCZĘŚCIE

TEATR MIEJSKI w LESZNIE
Jedno z tych miejsc może być Twoje ...
zadzwoń: 533 454 400



Wojciech FORNALIK – przedsiębiorca, filantrop

Gazeta Śremska

siedziba redakcji – Muzeum Śremskie
63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
tel: 61 2835938, kom: 533 875030
e-mail: muzeum@srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Wydawca:

Muzeum Śremskie; 63-100 Śrem, ul. A. Mickiewicza 89
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń
i reklam oraz zmiany programów i terminów
wprowadzone po oddaniu numeru do druku.

Redagują:

Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny)
Barbara JAHNS (redaktor prowadząca)
Katarzyna TOMCZAK (korekta)

Na okładce:

Obchody 98. rocznicy wybuchu powstania
wielkopolskiego. Wieża Ciśnień w Śremie
Fot. Grzegorz Pawlak

Okładka:

Aranżacja – Szymon MAJEWSKI

Skład:

Samuel Bednarski

Druk:

DRUKARNIA TOMCZAK Ewa Osiewicz
tel. 61 2841 208 www.drukarniasrem.pl

TU
jest,
TU
było,
TAK
się mówiło

BÓŻNICA

Do II wojny światowej świątynia żydowska - potem salon meblowy MHD. Miedzy ul. Matuszewskiego a Szkolną, obok Gasplacu. Zburzona w 1969 roku z powodu budowy mostu i drogi do Poznania.



Fotografia z archiwum Muzeum Śremskiego



Fotografia Piotr Pieczykolan

NASZTALENT

